Rocznik II — Kraków, 10 Lutego 1897. — Nr. 3.

PRZEGLĄD LITERACKI.

Organ ZWIĄZKU LITERACKIEGO w Krakowie.

Przegląd wychodzi dwa razy na miesiąc.

Listy, artykuły, książki, należy przesyłać pod adresem Redakcyi.

Przedpłata wynosi:
w Krakowie rocznie 6 złr. w. a. — półrocznie 3 złr. — z przesyłką pocztową rocznie 6 złr. 80 ct. — półrocznie 3 złr. 40 ct.
Za granicą: rocznie 16 franków, 12 marek, 6 rubli, z przesyłką 7 rs.
Cena numeru 50 ct. w. a.

Ogłoszenia
po cenie 10 ct. za wiersz petitowy, za całą stronicę 15 złr. przyjmuje Administracya.

W **Poznaniu** skład główny w księgarni J. Leitgebra, w **Petersburgu** w księgarni K. Grendyszyńskiego.

Adres Redakcyi: ulica Floryjańska l. 41. — Administracya: w księgarni G. Gebethnera i Spółki.

ZAPOMNIANY POETA
EDWARD ŻELIGOWSKI.

(Dokończenie).

Prócz wierszy Żeligowski wydał w 1858 r. dwutomową powieść *Dziś i wczoraj*. Rzecz to technicznie niezręczna, z przyjemnością jednak i jednym tchem można ją jeszcze dziś przeczytać, dzięki wiejącemu z niej urokowi staroświecczyzny, wskrzeszonej w licznym szeregu typów jeszcze nam znanych z tradycyi, ale już na wieki pogrzebanych w grobie szlacheckiej swawoli przeszłości. Pod względem myśli przewodniej powieść ta jest jakby dalszym ciągiem Jordana. W Jordanie podziwialiśmy próbę sprowadzenia mesyanicznych natchnień poezyi na grunt realny, zwrot do sumienia nie narodu w ogóle, lecz każdej z osobna jednostki, zwrot płynący z przeświadczenia, że doskonalenie się indywidualne jest jedyną drogą do osiągnięcia ideału doskonałości społecznej. Pod wzniosłem wrażeniem nauk zawartych w Dziadach, Irydyonie i Przedświcie wypowiedział był Żeligowski w utworze swej młodości dwa lata przed wyjściem Psalmu dobrej woli, myśl w tem ostatniem słowie Krasińskiego zawartą: „Daj nam, o Panie, świętemi czynami samych wskrzesić siebie“, — teraz w *Dziś i wczoraj* zastanawiał się on nad tem jakim ma być, jak myśleć, czuć i działać ów człowiek dobrej woli, mający czynem swoim przyczynić się do wskrzeszenia narodu.

Bohatera swego Bolesława poeta obdarzył czystem sercem i wzniosłą żądzą ideału. W pierwszym rozdziale jest on jeszcze dzieckiem, siedzi on przy oknie i oparty na łokciu wpatruje się w niebo: dzień zapada już za lasy i góry, a słońce zachodnie rozsiewa pożegnalne blaski po liliowo mglistych przestworzach; chłopak upaja się czarem zmroku, drży ze wzruszenia, rączęta małe wychyla za okno, jak gdyby zatrzymać chciał jaki niknący pejzaż, oczy zachodzą mu łzami, tłumi je znowu i zaciera, lecz łzy przechodzą powoli w płacz, potem w spazmatyczne szlochanie, „w którem całe serce płacze“. — „Któż z nas — dodaje autor temi łzami nie płakał — kto nie zapłacze niemi nigdy?“ — W miarę lat wzniosłe i czyste tęsknoty dziecięce przybierają bardziej wyraźne kształty, Bolesław tworzy sobie na uniwersytecie całą filozofią życia i wróciwszy do domu, występuje jako zapalony jej głosiciel. Filozofia ta, będąca syntezą Hegla z wiarą wyniesioną z domu rodzicielskiego, niczem się nie różni od tej, którą poeta wygłosił był przed 10 laty w Jordanie i zwłaszcza w przedmowie do Jordana. Jej twierdzeniem zasadniczem, że myśl Boża stopniowo i coraz pełniej objawia się w dziejach i, że przeto zadaniem każdej jednostki „poznać to słowo, które Bóg każdej epoce daje i którego syllaby są rozlane w narodach“, poznać, aby z tem słowem i z tą wolą Bożą współdziałać. Godne uwagi to, że poeta, po 10 latach gorzkich doświadczeń, silniej niż w Jordanie zaznacza przez usta Bolesława trzeźwość swoją, niechętną wszelkiemu marzycielstwu, wszelkim porywom nierachującym się z rzeczywistością. Mesyanizm, czyli uważanie siebie za naród wybrany, potępia on stanowczo, jako zawadę na drodze rozwoju narodowego (str. 82), na miejscu zaś bezpłodnego bohaterstwa stawia on tę cichą, powolną, ale płodną pracę, którą dopiero później, po ciężkiej próbie 63 roku wystawiono narodowi jako ideał pod nazwą pracy organicznej. I to zejście z wyżyn światowładnego marzenia do szarej prozy życia nie jest wynikiem zniechęcenia i poczucia niemocy — przeciwnie, w nowym, pozornie ciasnym ideale dawne wrzenia szlachetnej młodości, upojonej żądzą urzeczywistnienia ideału chrześciańskiego, kojarzą się z nauką wydobytą zarówno z gorzkich cierpień jak z sumien-

nego zbadania nowych warunków życia narodu. Jednem słowem, rozumując jak mąż dojrzały, Bolesław czuje jak młodzieniec, którego wyobraźnia i serce unoszą na widownię wielkich czynów i poświęceń: „Ja pragnę bytu — pisze on w dzienniku — to moja codzienna modlitwa, to hymn mój, który śpiewam Bogu i życiu“. Ale jak ten byt swój zaznaczyć? jak wynaleźć „wzorem Newtona, prawo moralnej grawitacyi“, któreby dało siłę do wcielenia nauki chrześciańskiej w życie? Odpowiedź na to daje Bolesław, ze względu na ową epokę romantycznych bujań, wysoce charakterystyczną: „Mnie się zdaje, że jednym z pierwiastków tego prawa jest poczucie i pokochanie obowiązku... Obowiązek, obowiązek! Boski sprzymierzeniec pracy! prawo najwyższe i święte, które ożywia tych nawet, którym cięży i ulecza tych, których rani. Bóstwo dusz silnych, zbawco dusz słabych, doradco śród tych światów, które się zmieniają i przechodzą, — gwiazdo polarna duszy ludzkiej! ....ktokolwiek cię wyznaje, bogactwo staje się temu zobowiązaniem, ubóstwo nauką, władza trudem, wolność wędzidłem. Zaiste ty nas często skazujesz na zbyt ciężkie próby, zmuszasz nas wstępować na Kalwaryę, włócznią przeszywasz nam łono, lecz umęczone pod twemi zbawiennemi ciosami serce nasze, zamiast ci złorzeczyć, mimowoli cię uwielbia i woła do ciebie jak Chrystus umęczony do Ojca niebieskiego: Panie mój, ja składam rozum mój w ręce Twoje“.

Zdawałoby się. że ta filozofia wzniosła i rozumna, rachująca się z rzeczywistością i bardzo daleka od zapędów młodości, mierzącej nie na siły, ale na zamiary, powinna pogodzić bohatera ze światem i z ludźmi. Niestety, nie. Bolesław chciał, aby wszyscy tak czuli, jak on, tymczasem społeczeństwo pogrążone było we śnie i tylko gdzieniegdzie „samotne duchy, jak gwiazdy i planety krążyły nad snu i letargu przestrzenią“. Bolesław nie umiał pogodzić się z tym faktem: „on widział tryumf prawdy dokonanym w swym duchu, a nie wiedział, że za te już w nim dokonane prawdy jeszcze tysiące krew przeleją i wielekroć razy jeszcze źli nad dobrymi*) tryumfować będą“.

Spotykają go więc w życiu różne zawody. Odziedziczywszy po ojcu mocno odłużony majątek i potrzebując pieniędzy dla wyratowania go od wierzycieli udaje się Bolesław w tym celu do krewnych i przyjaciół zmarłego ojca, ludzi majętnych i cieszących się ogólnem poważaniem. Przy tej sposobności kreśli autor szereg udatnie schwyconych, choć karykaturalnych typów polsko litewskiej szlachty, tej dziwnej — jak wyraża się — w żadnem innem ucywilizowanem społeczeństwie nieistniejącej klasy ludzi żyjących nie wiedzieć dla czego i nie poczuwających się do żadnych obowiązków. Pożyczki odmawiają Bolesławowi wszędzie i dopiero adwokat przechrzta przychodzi mu z pomocą, kierując się nie sercem naturalnie, ale tą prostą rachubą, na którą jednak żaden ze szlachty zdobyć się nie umiał, że człowiekowi rozumnemu, pracowitemu i uczciwemu pożyczyć można pieniędzy nietylko bez niebezpieczeństwa, ale nawet z pożytkiem dla siebie. Do przykrości rodzinnych i majątkowych dołączają się cierpienia miłosne; Bolesław kocha się zrazu w uroczej i czystej Rozalce i zbliża się do niej o tyle, że i przez nią i przez jej matkę uważany jest prawie za narzeczonego, tymczasem wędrując po kraju, poznaje nietylko piękną, ale i rozumną Teresę, imponującą mu i wszechstronnem wykształceniem i apostolskim zapałem do pracy nad moralnem i umysłowem podniesieniem społeczeństwa. W sercu Bolesława zaczyna toczyć się bolesna walka między Rozalią a Teresą, w końcu Teresa zwycięża, ale ponieważ jest panią wielkiej fortuny, pełny delikatności Bolesław nie ma odwagi prosić ją o rękę. Zgryziony przeciwnościami doprowadza on do niejakiego porządku interesy majątkowe i wyjeżdża zagranicę w celu dalszego kształcenia się. Tam, czytując, myśląc, badając ludzi и życie, utwierdza się on w pierwotnem przekonaniu, że jedna jest droga do poprawy społeczeństwa: to praca każdej z osobna jednostki nad *sobą*, w duchu chrześciańskim, to dobra wola i miłość. Myśl tę wyraża on nader energicznie w artykule o zadaniach społecznych. Każdy czuje i widzi — dowodzi on — że potrzebne są nowe drogi dla społeczeństwa. Co do mnie „nie roszczę pretensyi, iżby je jak palisadnik wytykać, to byłoby śmiesznie, na to nietylko moja, lecz najrozumniejsza nie wystarczy głowa. Można czuć i chcieć za miliony, lecz miliony same tylko siebie uszczęśliwić mogą. Niech każdy niesie swoje ziarno i głos, czy to jako mrówka, lub pszczoła, czy jako gęś Kapitolu“. Niezbędną tylko jest miłość kraju, „kto kocha kraj swój całą myślą i sercem, ten staje się jakby jego duchowym królem“.

Wróciwszy z podróży, Bolesław ośmielony przez Teresę oświadcza się jej i żeni się, wkrótce też spada na niego po zmarłym wuju duże mienie, i Bolesław, stając się człowiekiem bogatym, zyskuje przez to „silny oręż do działania na opinię kraju, w którym każde słowo bogacza ważą na wagę złota, podrywając się przytem z krzyku i oklasków“. W ostatnim krótkim rozdziale z charakterystycznym tytułem *Bajki* kreśli autor działalność swego bohatera jako idealnego obywatela. Rozumiejąc, że bogactwo nakłada liczne obowiązki, Bolesław wychodzi z zasady, że opieki możnych potrzebuje przedewszystkiem lud, potem literaci, którzy wobec braku życzliwości ogółu mrą z niedostatku, nie będąc w stanie poświęcić się jak należy umiłowanemu zawodowi, — wreszcie w społeczeństwie całem dotkliwy brak ludzi praktycznych, fachowych i możni powinni przyczynić się do wytworzenia tej klasy. Zakłada więc Bolesław szkółkę wiejską dla włościan i lepszych uczniów,

*) W oryginale „nieprawdziwi nad prawdziwymi“, rusycyzm; wogóle język niepoprawny i naszpikowany obcemi mowie naszej wyrażeniami i zwrotami.

kształci potem własnym kosztem w szkołach i uniwersytetach, zakłada wielkie pismo dwutygodniowe, w którem skupia najlepsze siły literackie, należycie opłacając ich pracę, w końcu zakłada szkołę rzemieślniczą.

Wygląda to wszystko jakoś marnie i po filistersku wobec idealnych lotów Mickiewicza i Słowackiego, którzy marzyli o bohaterach zbawiających naród, ale Żeligowski z całą świadomością nadał tak skromne rozmiary działalności Bolesława, chcąc zaznaczyć swoje przeciwieństwo do ideału mesyanistów: „Bolesław — pisał on w końcu — wychodził z tej zasady, że społeczność reformuje tylko odwieczna logika historyczna, rozwój konieczny ducha, który ma równe prawa i równą konieczność rozwoju, jak każda roślina, każdy organizm. Sztucznym sposobem rozwijany duch społeczności, jak sztucznie rozwijane kwiaty przed balem, nie mają przyszłości. Pomagać, a raczej być sługą tej logiki historycznego rozwoju w danym czasie, mniemał Bolesław być najwyższą zagadką człowieka czynu i dobrej woli“.

Czyli nie bohaterowie zbawiają narody, ale narody same siebie wspólnemi siłami zbawiać powinny. Dodajmy do tego pewne objawiające się w ciągu całej powieści dążenie ku zgodzie z Rosyą, którego wyrazem serdeczny stosunek Teresy z nauczycielem rosyjskiego języka Putniewym i kilkakrotne rozmyślania o pożytku ze znajomości literatury rosyjskiej.

W ten sposób naszkicowany w Jordanie ideał pracy organicznej został wyraźnie wypowiedziany i określony w *Dziś i wczoraj*. Ale, powtarzam, ideał ten nie jest wynikiem znużenia jakiegoś i zniechęcenia, ale próbą sprowadzenia mesyanicznych marzeń o chrześciańskiem powołaniu i chrześciańskich obowiązkach jednostek i narodów na grunt powszedniego życia. Oparty nie na gnijących podstawach politycznego oportunizmu, ale na chrześciańskiem dążeniu do wyzwolenia ducha od materyi, jaśnieje on odblaskiem wyżyn, na których powstał i, zamiast prowadzić za sobą bezczynność i sen, dźwięczy on pobudką do lotu w kraj ducha i do walki w imię urzeczywistnienia woli Bożej tak w sobie jak i na świecie.

M. Zdziechowski.

Nadprzyrodzoność bohaterki poematu: »W SZWAJCARYI«.

„Przegląd literacki“ z dnia 10 stycznia 1897 pomieścił w łamach swoich streszczenie artykułu pana W. Zagórskiego p. t. „Nie Marya W.“, odnoszącego się do genezy poematu „W Szwajcaryi“. Chodzi tu mianowicie o osobę bohaterki tego utworu. Pan Zagórski stawia sobie dwa zadania, negatywne i pozytywne. Usiłuje on przedewszystkiem udowodnić, że powszechnie przyjęte mniemanie, jakoby Marya Wodzińska służyła poecie za pierwowzór do poematu, jest mylne, — następnie zaś przekonać czytelników, że Słowacki tworząc swoją „przedziwną idyllę“, nie miał zamiaru przedstawienia kochanki z krwi i ciała, lecz malował jedynie fantastyczną miłość zapaleńca do jakiejś „nadprzyrodzonej“ istoty, rusałki czy najady. Rozstrzygnięcie pierwszego punktu pozostawiam specyalistom — krytykom i historykom literatury; niech mi jednak wolno będzie powiedzieć parę słów w sprawie „nadprzyrodzoności“ bohaterki poematu.

Przedewszystkiem pamiętać należy, że każdy poeta, ex officio niejako metaforą się posługujący, nie szczędzi fantastycznych porównań i obrazów tam, gdzie mu idzie o uprzytomnienie czytelnikowi niezwykłego wrażenia, lub odmalowania uczucia miłości i zachwytu, z natury już skłonnego do przesady. Metafora jest metaforą — i nikomu zapewne nie przyjdzie na myśl sądzić, że bohaterka jakaś, o której poeta powiedział n. p., że „leciała jak gołąb“, w istocie miała skrzydła, lub była rusałką urągającą bezkarnie prawom ciężkości, którym zwykli śmiertelnicy podlegają. Nastrój poematu „W Szwajcaryi“ — tak żywo zresztą przypominający (jak to słusznie Ferd. Hösick zauważył) *Epipsychid'ona* Sheley'a — nastrój fantastyczny, niezwykły, niezwykle pięknem otoczeniem dwojga kochanków jeżeli już nie wywołany, to w każdym razie spotęgowany, usprawiedliwia najśmielsze nawet i najfantastyczniejsze obrazowanie poety: bohaterka jego wychodzi z tęczy i „z potoku piany“, ma „powozy z delfinów, gołębi, i kryształowe pałace na głębi, i księżycowe korony w noc ciemną“, — ale... czyż dlatego ma już koniecznie być rusałką albo nimfą? Jak powiedziałem, metafory ani hyperbole nawet nie mogą tu być użyte jako dowód na poparcie takiego przypuszczenia. Pan Zagórski utrzymuje, że bohater poematu, którego osobę on od osoby samego poety najzupełniej oddziela (czy słusznie?), wierzy niezachwianie i zawsze w „nadprzyrodzoność“ swej kochanki. Bądź co bądź poeta w całym utworze przemawia w pierwszej osobie i na refleksye ani uwagi nie od bohatera pochodzące, miejsca nigdzie nie zostawia; kwestya zatem, czy bohater poematu wierzy w istocie, iż jego kochanka jest „nimfą“, czy nie, jest równoznaczna z kwestyą, czy autor ją chciał jako taką przedstawić, czy też nie. Metafory i porównania, powtarzam raz jeszcze, same przez się dowodu żadnego nie stanowią, — gdyż w ustach rozkochanego bohatera zawsze mogą pozostać tem, czem są istotnie, to jest poetyckiemi przenośniami tylko, — a nie wyrażeniem konkretnej wiary i przekonania. Dopiero rozstrzygnięcie pytania, czy wyrażenia takie jak: „i wnet rozkochany, że z tęczy wyszła i z potoku piany wierzyć zacząłem i wierzę do końca“ i wiele podobnych, są przenośnią świadomie przez bohatera użytą dla zaznaczenia nie-

zwykłego zachwytu i potężnego wrażenia ukazaniem się „skromnej pani“ wywołanego, — czy też wypowiedzeniem naiwnego i rzeczywistego przekonania, — będzie ostatecznem załatwieniem sprawy „nadprzyrodzoności“ bohaterki „W Szwajcaryi“. Otóż ośmielam się utrzymywać, że w samym poemacie, którego tekst, wedle zrozumienia pana Zagórskiego, ma tylko popierać jego hypotezę, znajdują się miejsca, które jasno wykazują, iż bohater wiedział dobrze, iż ludzką istotę, a nie nimfę ma przed sobą, — i czynią tem samem śmiałą hypotezę pana Zagórskiego wprost niemożliwą.

Jeżeli poeta raz wspomni o oczach człowieka, choćby je później sto razy nazwał gwiazdami, dyamentami, błyskawicami itp., — każdy wie, że o oczach prawdziwych mowa, — i znowu, jeżeli mówi o gwiazdach w nocy na błękicie świecących, choćby je oczyma nieba zwał, nikt je nie weźmie za oczy z rogówki, tęczówki i źrenicy się składające; wiemy bowiem dobrze, że człowiek pod powiekami ma oczy, a na błękicie świecą gwiazdy — i te znaczenia, jako najbliższe, mimowoli pod wszystkie przenośnie nam się podsuwają. Gdyby wszelakoż poeta jakiś chciał nam przedstawić, dajmy na to, archanioła, którýby na miejscu oczu miał gwiazdy rzeczywiste, musiałby wyraźnie powiedzieć, że anioł ten *nie oczy*, lecz gwiazdy ma pod powiekami, a w dalszym ciągu unikać konkretniejszego porównania gwiazd tych z oczami (nie mówić np. o *źrenicy* tych gwiazd, ani o ich *spojrzeniu*) gdyż w przeciwnym razie wyobrażenie oczu, jako bliższe, wyparłoby w umyśle naszym wyobrażenie gwiazd pod czołem anioła świecących. Tak samo rzecz się ma, jeżeli poeta przedstawia nam dwoje kochanków. Najbliższem pojęciem dla nas jest tutaj dwoje ludzi. Jeżeliby natomiast jedno z nich miało nie być człowiekiem, musiałby to poeta dać wyraźnie do zrozumienia, i unikać wyrażania się o tej istocie, jako o człowieku, bez zaznaczenia przynajmniej, że w tem miejscu pojęcie dla umysłu naszego dalsze określa właściwe znaczenie, a bliższe tylko przenośnią jest i obrazem. Mistrz taki, jak Słowacki, o prostej tej zasadzie, przestrzeganej przez każdego artystę-literata, zapomnieć nie mógł, — a mimo to wyraża się o bohaterce poematu kilkakrotnie jako o istocie z krwi i ciała, jako o człowieku. Wobec tego, co się wyżej powiedziało, oczywistem jest, że już *jedno* takie miejsce wystarczałoby w zupełności, aby wszystkie przenośnie w właściwem świetle postawić i usunąć wszelkie wątpliwości, co do ich znaczenia; w poemacie Słowackiego znajdujemy takich miejsc parę. Pomijam już to, że zaraz na wstępie poematu poeta mówi, (lub też według pana Zagórskiego, swemu bohaterowi mówić każe) o kochance, jako o „zbawionej“ wśród „Aniołów“, do której duch ma lecieć za „niebieskie szranki“ — a więc jako o istocie zupełnie po ludzku zmarłej, — a zwracam tylko uwagę na miejsce w ustępie III-cim, gdzie czytamy: „Tameśmy szmerem spłoszyli dwie sarny; te jakby szczęścia *ludzkiego* świadome, stanęły blizko....“ Gdyby Słowacki bohaterowi swego poematu kazał istotnie wierzyć w „nadprzyrodzoność“ kochanki, z pewnością nie mówiłby w jego imieniu o szczęściu jego i jego kochanki jako o szczęściu *ludzkiem*, lecz nie zaniedbałby posłużyć się oględniejszem wyrażeniem (np. „naszego“ zamiast „ludzkiego“). Na uwagę zasługują także wiersze z ustępu VI-tego: „Fala.... jednem światła objąwszy *nas* kołem zmieszała niby anioła z aniołem“. Bohater stosuje to samo porównanie (anioł) *bez różnicy* do siebie i do kochanki, czegoby pewnie nie uczynił, gdyby siebie tylko uważał za śmiertelnego człowieka, a kochankę swą za nadprzyrodzoną istotę, *rzeczywiście* do aniołów podobną. W ustępie VII-mym bohaterka mówi: „Może za miłość ja pójdę do piekła...“ Obawa ta u rusałki czy nimfy wydałaby się co najmniej zbyteczną. Również mieszkanie w szalecie i czytanie książki pod kaskadą zupełnie po ludzku wyglądają. Bohater, mimo zachwytu i miłością podnieconej wyobraźni, wie dobrze, że tam pod wodospadem, dziewczyna ludzka czułą książką i wzrokiem jego rozmarzona, na pierś mu się kłoni, a nie najada, gdyż wkrótce mówi, że „ona z tych była, co się skarżą matkom“. Romantyczna przygoda w grocie, po której „z groty ta piękna wyjść nie śmiała sama, — słońca się może bojąc na lazurze, że za promienne będzie i za duże, albo że będzie jako czarna plama“ — a nadewszystko propozycya zaręczyn u pustelnika, która *od kochanki* wychodzi, — stawiają bohaterkę poematu i zamiar autora w tem świetle, że zaiste bujnej i dziwnej wyobraźni potrzeba, aby wmówić w siebie i starać się w innych wmówić, że bohater poematu (mniejsza o to na razie, czy poeta się z nim identyfikuje, czy tylko w imieniu jego przemawia) wierzy istotnie w cudowność i nadludzkość swej kochanki.

Przytoczyłem miejsc parę; uważny czytelnik znajdzie ich nierównie więcej.

Jerzy Żuławski.



RECENZYE i SPRAWOZDANIA.

Kazimierz Gliński. »*Król Bolesław Śmiały*«, tragedya w 5-ciu aktach (prozą). Kraków. Nakład G. Gebethnera i Spółki. 1896 r. str. 198.

Pięknie określa swe stanowisko autor we wstępnym wierszu, będącym przygrywką do tragedyi. Źródła dziejowe bardzo sprzeczne podają wskazówki o krwawym dramacie, który się odegrał na Skałce 1079 r., poeta więc „skupił się we własnym duchu, utonął w przeszłości głębinie“ i ujrzał jak:

Zwarły się z sobą dwie siły olbrzymie,
Miecz i krzyż wielkie podźwignęły dłonie,
Czoło kapłana złotym blaskiem płonie
Ale i króla nie tak czarne imię...

Rzeczywiście trzeba było poetycznego odczucia, które umie łączyć niepogodzone napozór sprzeczności, żeby spojrzeć na ten wielki temat dziejowy bez powziętych z góry uprzedzeń stronniczych lub politycznych.

Wspaniale pojął p. Gliński walkę króla z biskupem, jako zwarcie się żywiołowe dwu idei, dwu zasad historycznych, jako spór nadający piętno dziejom owej mrocznej epoki. Król Bolesław dumny, krewki, despotyczny, dający folgę popędom swej nieokiełzanej natury, zajęty dziełem zemsty na rycerstwie, które go pod Kijowem opuściło; z drugiej strony biskup Szczepanowski, twardy asceta, skupiony duchowo, przejęty ideą wszechwładztwa Kościoła, broniący w imię miłosierdzia chrześcijańskiego szlachtę, gnębioną przez króla, który karał okrutnie i katom dużo dawał do roboty.

Obok tej dziejowej walki, autor przedstawił dramat domowy w zamku wawelskim pomiędzy królową Wisławą a Bolesławem, który uganiając się za kochanicami, nie szanował małżonki, podszczuwany przez dworaków. Na czele partyi przeciwnej królowi staje Sieciech Starża, możnowładzca obrażony w swej dumie, dążący do zwalenia energicznego króla. Na jego miejsce szlachta chce wynieść słabego Władysława Hermana, żeby na tronie zamiast władzcy mieć słomianą kukłę. Aby Hermana pociągnąć do Morawicy, gdzie mają się zebrać malkotenci, stronnicy Sieciecha używają jako lepu panny dworskiej Offki, do której słaby brat królewski lgnie bez pamięci.

Poeta dobrze wysnuł nici do zadzierzgnięcia dramatycznego węzła. Zanim ukazał starcie dwu dziejowych mocarzy, rzucił w akcie I-szym szereg ruchliwych i wesołych scen z życia dworskiego, przedstawiając tajemne konszachty stronników Sieciecha. W pierwszem zetknięciu z biskupem król odrazu stawia się butnie i oświadcza, że nie będzie jak Henryk, cesarz niemiecki, tarzał się w prochu przed Rzymem, ani „walał błotem pokory“... Biskup odchodzi złowrogo milcząc. Król wkrótce dowiaduje się, że biskup osłonił krzyżem skazańców, których szlachta, odbiwszy katom, puściła na wolność. Król każe palić biskupie włości i razem z drużyną udaje się na objazd siedzib rycerskich, aby wysłuchać krzywd kmiecych, wiernym nieść łaskę a hardym sąd i śmierć. Królowa chciała go powstrzymać na progu zamkowym, ale on ją szorstko odtrącił. Cały akt I. jest ruchliwą i zajmującą introdukcyą. Nienastrajając się na ton sztuczny, poeta rzucił wstępne sceny swobodnie, nawet wesoło, potem śmiało przeszedł on do momentów dramatycznych. Pierwsze wyraził językiem żwawym, lekko archaizowanym, w drugich użył jędrnej a malowniczej dykcyi, która mieni się tęczowemi barwy i chwilami tętni energiją i wzbiera siłą uczuć bez sztucznej retoryki.

W akcie II. sprawdzają się złe przeczucia królowej, albowiem Bolesław zjeżdża na dwór starego Mścisława, aby porwać jego żonę Krystę, która warem krwi i pokusami spragnionej wrażeń wyobraźni zapałała do dzielnego króla. Akcya główna tu nie postępuje, ale postać króla wypukleje, oblicze jego barwi się rumieńcem namiętności nieokiełznanych. Sceny miłosne płoną żarem fantazyi i zmysłów, mają rozpęd i tężyznę właściwą naturom przewrotnym, w których grają popędy natury, mało jeszcze poskromione przez cywilizacyę.

W akcie trzecim biskup odsłania głębię swej duszy w monologu przydługim nieco, ale pięknym. Szamocze się pomiędzy obowiązkiem wierności dla króla, a poczuciem misyi ciążącej na księciu Kościoła. Ze spokojem przyjmuje wieść o rabunku włości biskupich, dokonanym przez pachołków Bolesława. Trafnie a prosto porusza poeta ten drażliwy szczegół, że biskup znosił się z Wratysławem czeskim. Gallus nazywa to zdradą. Był to istotnie bunt przeciw władzy świeckiej, ale w oczach biskupa przysięga wierności nie obowiązywała wobec króla okrutnika, dającego przykład zgorszenia i targającego się na własność biskupią. Władza kościelna w porządku moralnym stała wyżej nad świecką i miała prawo pohamować ją w razie spełniania krzyczących nadużyć i występków naruszających nietykalne prawa kościoła. Zresztą biskup znosił się z pobratymczem mocarstwem, z Czechami, których język wówczas mało się różnił od polskiego, jak o tem świadczą dokumenty dziejowe. Myśl powołania czeskiej dynastyi na tron, była wykroczeniem a nawet zdradą przeciw dynastyi Piastów, ale nie była zdradą wobec kraju, w ścisłem znaczeniu tego wyrazu.

Biskup próbuje potem raz jeszcze zmiękczyć króla, klęka u stóp jego, woła o naprawę krzywd Kościoła, wzywa go, żeby miecz schował krwawy, — ale gdy król mu grozi śmiercią, podnosi się z klęczek i rzuca mu w oczy zapowiedź klątwy.

Po tej pysznej i jędrnej scenie król, w towarzystwie kochanicy Krysty, spotyka się oko w oko z pogwałconem prawem moralnem. Odtrąca znowu od kolan wierną żonę, ale słyszy jak za sceną mąż Krysty złorzeczy uwodzicielowi i wiarołomnej. Słowom Mścisława nadaje poeta jakiś proroczy biblijny nastrój. Pod względem technicznym ta długa tyrada męża wypowiedziana za sceną jest zrobioną wadliwie.

Czwarty akt stanowi perłę tragedyi. Wielkie zebranie szlachty pod przewodnictwem biskupa na dworze Sieciecha w Morawicy zostało zachwiane na korzyść króla. Rycerstwo porwane słowami Janoszy, wiernego Bolesławowi, spieszy już z hołdem posłuszeństwa. Na progu wstrzymuje ich mąż Krysty, który zabija się w oczach całej gromady. Biskup wtedy wstaje i rzuca

klątwę. Strach mrozi obecnych. Samobójstwo Mścisława jest efektem zbyt teatralnym. Taki rycerz mściłby się raczej za zdradę żony, nie ginął jak romantyczny kochanek. Cała jednak scena pełna jest rycerskiego gwaru, wre zemstą, sporem sprzecznych interesów i namiętności, sprawia wspaniałe wrażenie.

Nastrój dramatyczny podnosi się jeszcze bardziej w następnym obrazie, w którym poeta przedstawia katastrofę z wielkiem poczuciem prawdy i miary artystycznej. Zamiast na scenie ukazać zamordowanie biskupa, co musiałoby zbyt szorstko razić uczucia słuchaczy, poeta maluje wrzenie duszy króla przed i po dokonaniu morderstwa; czysto psychologicznemi rysami osiąga cel zamierzony. Brutalna strona dramatu usuwa się z przed oczu słuchacza, ale tem silniej występuje groza wewnętrzna i złamanie potęgi materyalnej króla przez siłę duchową.

W akcie ostatnim autor niedość szybko zdąża do zakończenia. We wstępnych scenach znajduje oddźwięk legenda o cudach zmarłego biskupa. Król wije się w męczarniach sumienia, widzi przed sobą klątwę wieków, która ma ciążyć na jego imieniu. Urasta jednak jeszcze raz do wielkiej potęgi, gdy legatowi papiezkiemu rzuca słowa pełne nieugiętej dumy. Nie złamie się, nie pójdzie do Canossy — żegna żonę, opuszcza zamek okolony pierścieniem wrogów, przechodząc z dumą koło szeregów kopij rycerskich, które się przed nim rozstąpiły. Tragedya kończy się wielkim krzykiem rozpaczy opuszczonej królowej.

Jestto dzieło niepospolite. Ujęcie przedmiotu śmiałe, godne prawdziwego poety. Jako dramaturg p. Gliński dał się dawniej nadto unosić porywom rozbujałego romantyzmu w takim np. „Almanzorze“, który pomimo licznych piękności i gorącego kolorytu, był dziełem noszącem piętno improwizacyi. I tutaj znać pracę twórczą pisarza, który ma dużo rozpędu fantazyi, ale nie opanował jeszcze w zupełności techniki dramatu. Uboczne epizody i nici akcyi dramatu w zasadzie dobrze się łączą z akcyą główną, jednak nie są spojone ani wyzyskane dostatecznie, jak np. romans Offki z Władysławem Hermanem, urwany nagle w akcie 3-cim, chociaż poprzednio ten wątek autor dosyć szeroko prowadził. Można było budowę tragedyi obmyśleć z większą spójnością i skupić ją w mniejszej liczbie zmian scenicznych. Niektóre ważne wypadki, jak np. śmierć Krysty w akcie IV-tym, nie są dostatecznie usprawiedliwione, a wogóle sceny uboczne traktowane zbyt szeroko.

Ale mimo tych zastrzeżeń przyznać trzeba, że budowa tragedyi jest jasna, że rozwija się ona logicznie i daje w całości obraz ruchliwy, mający w sobie dużo życia i rozmaitości. Dwie postacie główne zarysowane śmiało i silnie, nie łamią się ani na chwilę. Figury drugoplanowe, jak Mścisław, Wisława, Krysta, mniej są udatne, — a rysunek ich zaciera się we frazeologii lirycznej. Całą jednak rzeszę postaci epizodycznych autor szkicował śmiało, silnie, a niektóre z nich zabarwił zlekka oryginalnym komizmem. P. Gliński nie daje tu jeszcze pełnego obrazu złożonych osobistości ludzkich, ale w dwu głównych figurach naczelne ich znamiona przeprowadza bardzo pięknie przez gammę półtonów i odcieni. Wielką zaletą utworu jest język żywy, malowniczy, płynący swobodnie, połyskujący niekiedy tęczowemi nićmi Słowackiego. Ani na chwilę jednak nie jest p. Gliński naśladowcą, nie przybiera żadnej sztucznej maniery, ale jest na swój sposób szczerym, pełnym uczuć i fantazyi, romantykiem trochę luźnym, ale nierozczochranym, umiejętnie zestawiającym kontrasty komizmu i wzniosłości. Wskrzeszając postacie z epoki zamierzchłej, mało rozjaśnionej przez badania naukowe, autor nie sili się na sztuczny archaizm, nie obciąża tragedyi szczegółami erudycyi historycznej, ale słucha swej intuicyi, dba o poetyczny koloryt dzieła, o żywe oddanie uczuć i namiętności.

Tragedya jego zupełnie kwalifikuje się na scenę, wymaga tylko trochę skróceń i paru zmian drobnych. W Niemczech dzieło takie ustaliłoby renomę autora na scenach pierwszorzędnych. Tragedya p. Glińskiego nasuwa mimowolnie porównanie z niepospolitym dramatem Wildenbrucha „Henryk IV.“, który poznałem roku zeszłego w pięknej interpretacyi artystów Berlinertheatru. Dramaturg niemiecki, idący szlakami Szekspira, posiada bezwątpienia więcej technicznej *maestrii*, jego dzieło pod względem artystycznym i teatralnym prowadzone jest prawidłowo, z dojrzałem przygotowaniem i wyzyskaniem wszystkich efektów. Ale Wildenbruch popsuł swój dramat w końcu przez tendencyę prusko-junkierską. Kazał w akcie V. cesarzowi wyklinać Papieża, co się podobało w pałacu pod Lipami w Berlinie, ale było wielką historyczną herezyą.

Tymczasem tragedya p. Glińskiego nie spada przy końcu, lecz potężnieje. Autor zostaje sobą, patrzy na ludzi i wypadki z wysoka, nie pochlebia żadnej potędze. Kościół jest wielki w swym tryumfie, król wspaniały w zbrodni i upadku. Pomimo szczegółowych usterek, tragedya naszego poety jest dziełem twórczości swobodnej, niekiedy natchnionej, ma wiele scen pięknych, nawet porywających, a co najważniejsza, posiada siłę wewnętrzną i polot, nieznane w dziełach scenicznych fabrykowanych zręcznie, ale zastępujących poezyę — rzemiosłem.

Józef Kotarbiński.

Krzyżanowski Anatol. *Pasierby.* Powieść poprzedzona słowem wstępnem Henryka Sienkiewicza. Warszawa, nakład G. Sennwalda, 1897. Dwa tomy.

Poprzedzenie powieści słowem wstępnem Sienkiewicza ma swoje złe i dobre strony. Jestto rodzaj paszportu, polecenia książki, boć przecie taki artysta jak Sienkiewicz nie pisałby wstępu do utworu, pozbawio-

nego wartości. Wydawca dobrze na tem wychodzi, mniej dobrze autor i czytelnik, a jeszcze gorzej sprawozdawca. Zaszczyt uczyniony autorowi, wyrządza pewną szkodę jego dziełu, ponieważ Sienkiewicz napisał właściwie nie słowo wstępne, ale krytykę Pasierbów, w której zaznajamia po części czytelnika z ich treścią i rozwiązaniem. Psuje się więc wrażenie; bez wstępnego słowa Sienkiewicza, wzrastałaby ciekawość od początku tomu drugiego, a doszłaby do niezwykłego natężenia przy końcu powieści; do ostatniej chwili rozwiązanie byłoby zagadką, z czem tak rzadko spotkać się można w dzisiejszych naszych powieściach. Najtrudniejszą jest rola sprawozdawcy, który przeczytawszy nadzwyczaj trafną w głównych punktach ocenę Sienkiewicza, miałby szczerą ochotę zrzec się swego obowiązku. Szczęściem, że Sienkiewicz unika szczegółów, zajmuje się tylko tendencyą powieści i kreśli odniesione wrażenie, a więc zostawia w części wolne pole recenzentowi.

Bohaterką powieści jest Szczęsna Zaliwska, „kwiat cieplarniany“ według własnych słów autora. Córka bogatego napozór właściciela Zaliwiec, wychowana niepraktycznie jak wszystkie prawie panny z „dobrych“ domów, dowiaduje się przypadkowo o złym stanie interesów ojca. Wiadomości tej udziela jej dość szorstko pułkownik Dowburt, jeden z jego wierzycieli. Drugim wierzycielem, którego cały skromny majątek ciąży na hypotece Zaliwiec, jest Zygmunt, bratanek Dowburta, i jego mniemany spadkobierca. Dowburtowie byli niegdyś właścicielami Koniecpola i całem marzeniem starego Dowburta jest, aby Dowburtowie-Konieccy powrócili do dawnego swojego majątku. Oszczędnością i pracą zbiera kapitały, w Zygmuncie widzi przyszłego odnowiciela świetności rodu. Zaufał Zaliwskiemu, wierzył w jego energię, spryt, rozum, ruchliwość i postępowe prowadzenie gospodarstwa, z tem większą więc trwogą spogląda na wzrastające obdłużenie Zaliwiec, bo z ich upadkiem straci część kapitału, mającego tak doniosłe dla niego przeznaczenie. Zygmunt tymczasem mniej marzy o Koniecpolu, a więcej o Szczęsnej. Miłość dwojga młodych ludzi wzrasta z niepowodzeniami i klęskami Zaliwiec. Wobec pożaru niszczącego zbiory, a z niemi ostatnie nadzieje Zaliwskiego, Zygmunt po bohaterskiej walce z żywiołem wyznaje Szczęsnej swoją miłość. Urzeczywistnieniu jego zamiarów staje na przeszkodzie stary Dowburt, który nawet słyszeć nie chce o małżeństwie z córką bankruta i utracyusza; „ta cieplarniana roślina, wychowana w pałacu, nie jest stworzoną dla człowieka pracy mającego cel przed sobą i dążącego do zdobycia tego celu.“ Szczęsnej krwawi się serce, czuje bowiem, że ojciec skrzywdził materyalnie jej narzeczonego i jego stryja. Na upór tego ostatniego chce znaleść lekarstwo we własnem upokorzeniu się; pyta: czem przed nim zawiniła? w kornej postawie błaga go, aby nie burzył jej szczęścia. Ale pułkownik mimo silnego wzruszenia, mimo czci i wzrastającej sympatyi dla błagającej, zostaje niewzruszony, bo „nie chce się zaprzeć własnych przekonań.“ Zygmunt postawiony między „martwą ideą“ swego stryja, a własnem żywem sercem i narzeczoną, wybiera tę ostatnią. Ale nie tu koniec ciężkich przejść obojga kochanków. Zaliwski widząc, że nie ma wyjścia z rozpaczliwego położenia, że lada chwila zostanie z rodziną bez kawałka chleba, odbiera sobie życie, aby przynajmniej żonie i dzieciom pozostawić kapitał 50.000 rubli, na jakie był zaasekurowany. a schodzi ze świata w taki sposób, że nikt nie przypuszcza samobójstwa. Szczęsna z rodziną przenosi się do Warszawy, a kiedy po wyczerpaniu się skromnych zasobów, szuka pracy dla utrzymania rodziny, napotyka tylko na oburzające propozycye ze strony nawet „przyjaciół rodziny.“ Przez dumę odpycha pomoc Zygmunta, czekając jak zbawienia wypłaty polisy asekuracyjnej, z której przedewszystkiem chce mu wypłacić jego sumę spadłą z hypoteki. Ale i ta nadzieja zawodzi, bo wierzyciele położyli areszt na polisę i sprawa stanie się przedmiotem procesu. „Zygmunt zrujnowany doszczętnie przez nas, przez mego ojca“! — woła z bólem Szczęsna i odtrąca myśl natychmiastowego połączenia się z ukochanym, który postarał się o miejsce zarządcy Koniecpola. Nie opuści rodziny, nie rzuci jej na pastwę głodu, a nie może zgodzić się i na propozycyę Zygmunta, aby jej rodzina przy nich zamieszkała: „ja, uboga, mogłabym ci narzucać tyle osób, by ciężar ten zwichnął ci karyerę i życie, bym wraz z nimi stała się kulą u nogi, przekleństwem twego istnienia?“ Rozpacz Zygmunta ugina „zasady“ starego Dowburta, przybywa prosić Szczęsną, aby połączyła się z Zygmuntem i przyjęła pomoc dla swej rodziny. Ale Szczęsna przewyższa Dowburta w uporze. Ostatnią próbę złamania postanowienia Szczęsnej podejmuje Ania Sławińska. Kocha ona Zygmunta i przez miłość dla niego chce go widzieć szczęśliwym. Zamierza z rodzicami opuścić na czas dłuższy rodzinny Annopol — niech go Zygmunt weźmie w dzierżawę; żadnych pieniędzy na razie nie potrzeba. Skąd to poświęcenie? pyta się Ani Szczęsna i dowiaduje się prawdy: Ania przyznaje się do miłości. Zdenerwowana, przechodząca wszelkie rodzaje tortur, jakie przynosi troska o chleb dla najbliższych, bierze Szczęsna szlachetną propozycyę Ani za urąganie się. Obie rywalki, podniecone przedmiotem rozmowy i drażliwą sytuacyą, nie panują dostatecznie nad sobą. Ania zdobywa się na skargi i wyrzuty: obwinia Zygmunta o brak woli i hartu, nie oszczędzając i Szczęsnej. Morały Ani zdaje mi się nie były na miejscu; do kobiety nieszczęśliwej, zrozpaczonej „szlachetność“ w ten sposób nie przemawia. Ale stało się; rozmowa z Anią byłaby ostatnim ciosem, godzącym w serce Szczęsnej, gdyby jej losy oszczędziły ciosu jeszcze straszniejszego. W papierach, pozostałych po ojcu był list z napisem: „córce mej Szczęsnej

do przeczytania w rok po mej śmierci.“ Może w tym liście znajdzie wskazówkę, radę, zbawi nie, więc otwiera „moralny testament“ ojca i dowiaduje się, że dobrowolnie poniósł śmierć, by krwią własną chleb dla dzieci okupić. Szczęsna, przerażona odkryciem, runęła bez zmysłów na posadzkę. Uratowana od śmierci wpadła w obłęd cichy, łagodny, niewyleczalny.

Na tem dzieje pasierbów fortuny powinny były się skończyć. Autor niepotrzebnie kreśli na paru ostatnich kartach chwilę przybycia w trzy lata później nowo zaślubionej pary Zygmunta i Ani w progi Dowburtówki. Ten pogodny epilog po opisie scen strasznych i przejmujących, sprawia na mnie wrażenie dysonansu. Dzieje miłości Zygmunta i Szczęsnej skończyły się z chwilą kiedy bohaterka wpadła w obłąkanie i tylko dla czytelników niewybrednego gustu potrzebną jest wiadomość, że pan Zygmunt Dowburt Koniecki stał się właścicielem Koniecpola i małżonkiem Ani.

Posłuchajmy teraz Sienkiewicza: „Ogrom nieszczęścia, który spada na bezbronne głowy, sprawia, że powieść przerasta zwykłą pospolitą miarę. Widok niedoli niezasłużonej a olbrzymiej, będzie zawsze wzruszał ludzkie dusze. To wzruszenie autor daje. Czytelnik nie spodziewał się, żeby dramat stał się tak rozdzierającym — i owo zdumienie, ów niespodziany ucisk duchowy, pod którym kończy się ta książka, stanowi jej wartość literacką. Słowa i obrazy, które potrafią wzruszyć, są zawsze utworami rzetelnego talentu, trudno zaś bez ściśnięcia serca czytać, jak ta nieszczęsna dziewczyna deklamuje w obłędzie przy trumnie matki, smutne jak łzy i, mówiąc nawiasem, śliczne wiersze współczesnego poety. Wszystko jedno, czy jest w tem ton melodramatyczny, czy go nie ma, bo czytelnikowi także wszystko jedno, jak się co nazywa, jeśli go to wstrząsa.“

Lepiej wrażenia, jakie się odnosi z przeczytania „Pasierbów“ opisać nie podobna. Dramat skreślony przez autora jest rzeczywiście wstrząsający; daremnie szuka się w pamięci podobnego mu w naszej belletrystyce lat ostatnich. Dzieje takiej np. „Komedyantki“ Reymonta wydają się farsą przy ponurym dramacie „Pasierbów“. Szczęsna jest doskonałą nietylko artystycznie ale i etycznie, z jej strony nie ma ani cienia winy, jest tylko rzeczywistą ofiarą losu, a raczej istniejących stosunków. Sienkiewicz oddaje pochwałę autorowi za to, że miał odwagę tak skończyć książkę; słuszność tej pochwały podnosi jeszcze fakt, że sam Sienkiewicz tej odwagi nie posiada i dla zadowolenia swatowskich popędów czytelniczek stara się o „dobry“ koniec, aby było *laudabile totum.* Z odwagą autora „Pasierbów“ połączyło się i wysokie poczucie artystyczne. Inny autor zdecydowawszy się na zakończenie dramatyczne wybrałby prawdopodobnie między samobójstwem a śmiercią. Obłąkanie jest na pozór lżejszem, a przecież więcej przygnębiającem, tragicznem można-by powiedzieć usunięciem bohaterki z widowni. Nie umiera ona fizycznie, ale umysłowo, a taka śmierć jest najstraszniejsza, to ból bólów dla najbliższych, to obudzenie głębokiego współczucia wśród najdalszych, najobojętniejszych. O ile jednak postać bohaterki i powieść zyskują na tem rozwiązaniu, o tyle traci bohater. Śmierć mógł przeboleć i pocieszyć się przy Ani, ale że widmo obłąkanej nie stanęło między nim a ołtarzem i spokojnym żywotem zamożnego obywatela wiejskiego, to uważamy za błąd autora „Pasierbów“. I po raz drugi powtórzyć należy zapytanie: po co dopisał autor parę ostatnich kartek powieści? Gdyby ich nie było, nie miałby może prawa Sienkiewicz nazwać Zygmunta figurą niedołężną i deklamatorem. Na ostry ten sąd zgodzić się byłoby niepodobna. Zarzuca mu Sienkiewicz brak energii, hartu, żąda, aby Zygmunt wyrzekającej się go Szczęsnej dał „rozkaz“ pójścia za sobą. Nie uwzględnia, że ten rozkaz wobec psychicznego stanu nieszczęśliwej bohaterki zostałby niewysłuchany, co więcej byłby pewnem brutalnem targnięciem się na jej wolę. Tę duszę strasznie zranioną, rozegzaltowaną na punkcie poświęcenia szczęścia własnego, torturowaną ciągle myślą, że jest dla ukochanego „przekleństwem“, tylko czas mógł uleczyć. Ona sama to pojmowała, sama to mówiła — dla męskiej energii nie było tu pola.

Wogóle z tą „męską energią“ należy sobie postępować ostrożnie. Przykładem jest pułkownik Dowburt. Temu chyba energii nie braknie, — kroczy do celu świadomie, konsekwentnie, z żelazną wolą, gotów każdą przeszkodę usunąć ze swojej drogi. Jestto człowiek tak zwany „zdrowy“ i „silny,“ ale pomimo usiłowań autora, aby zjednać dla niego sympatyę, pomimo pięknych cnót i zalet, jakiemi go w tym celu wyposażył, pozostaje Dowburt postacią co najmniej zagadkową. Odpiera z oburzeniem podejrzenie, jakoby kierowała nim pycha; zaręcza, że jeżeli zbiera pieniądze, aby odkupić rodzinny Koniecpol, to nie czyni tego dla próżności rodowej. On chce „wpływu moralnego dla innych, cementu dla rozstrzelonych i błąkających się bez steru, bez kierunku.“ Co ten frazes znaczy, niepodobna zrozumieć. Czytelnik nie ma żadnych danych do uwierzenia zapewnieniom pułkownika, że kupuje on Koniecpol dla „dobra społeczeństwa.“ Co społeczeństwu przyjdzie z tego, że znów Dowburtowie Konieccy będą panami na Koniecpolu? Skąd dalej pewność, że ci Konieccy będą wywierali wpływ moralny — zresztą może go tak samo wywierać pierwszy lepszy właściciel Koniecpola. Autor „Pasierbów“ zdaje się wierzyć, że pewne rody mają misyę. Taka wiara jest mocno spóźniona. Nie idzie tu o lekceważenie zasług niektórych starych rodów: trafiają się takie, które przechowują zacne tradycye z pokolenia w pokolenie. Większość jednak i to większość olbrzymia nie ma się czem chwalić, a co najwyżej może się chwalić jednostkami. Takie jednostki zaś posiada w sobie i każdy ród nowy, bo zre-

sztą każdy ród stary był kiedyś nowym. Stare rody ginęły i giną, nowe po nich nastają, aby z czasem stać się staremi. Starych rodów w całem znaczeniu tego słowa jest bardzo mało, a ileż to pomiędzy nimi znajduje się takich, na których nie ciążą „stare“ i „nowe“ grzechy, ba! gdyby to tylko grzechy?! W starych rodach wreszcie najwięcej jest zasług z czasów, gdy były nowemi i te dawne zasługi przodków są często jedynem bogactwem moralnem ich skarlałych potomków. Cel życia Dowburta może być zatem dla niego bardzo ważny, ale dla ogółu jest całkiem obojętny, bo Dowburtowie nie otrzymali przywileju na przewodzenie ogółowi i nie dają, bo dać nie mogą gwarancyi, że ich wpływ moralny będzie pożyteczny. Można wreszcie uszanować głęboką wiarę pułkownika w to, że Dowburtowie są z lepszej ulepieni gliny, dopóki ta wiara nie dzieje się ze szkodą innych. Tymczasem cel życia Dowburta i jego przekonania są właściwemi przyczynami całej katastrofy. Gdyby na ołtarzu miłości dla bratanka złożył swój upór i swoje mgliste „przekonania“, a wreszcie część swojej gotówki, nie byłby ani Zaliwski odbierał sobie życia, ani Szczęsna nie dostałaby obłąkania. Autor opiewa tryumf Dowburta, boć on jeden rzeczywiście tryumfuje, doprowadzając do skutku połączenie Zygmunta z Anią i nabycie Koniecpola. Smutny to tryumf, bo wzrosły na łzach i krwi, na strasznym dramacie całej rodziny. Dowburt nie ma nawet usprawiedliwienia z punktu własnych „przekonań“, bo żadna konieczność nie kierowała jego krokami. Dopuszcza się kłamstwa mówiąc na początku, że Zaliwski „zabrał mu wszystko, co posiadał“, bo zaraz później dowiadujemy się, że suma pożyczona na Zaliwce jest tylko częścią jego majątku, a i tej całości nie traci. Kłamie po raz drugi, kiedy mówi do Zygmunta: „gdybyś był panem na Koniecpolu, nie miałbym nic przeciw ożenieniu twemu z panną Zaliwską; przyznaję, że dla męża na wybitnem stanowisku mogłaby ona być prawdziwą chlubą i ozdobą“. Pomijam już zabawne pojęcie „wybitnego stanowiska“, ale przecież mamy jasne dowody na to, że nabycie Koniecpola było tylko kwestyą czasu. Stary Harpagon (sam się raz tak o sobie wyraża) w trzy lata po katastrofie był w stanie nietylko kupić Koniecpol, ale przyłączyć do niego i Dowburtówkę. Czyżby w ciągu tych trzech lat odkrył w Dowburtówce kopalnię złota, a przynajmniej węgla kamiennego? Nie — on pieniądze miał już przedtem, sam się do tego przyznał przed Szczęsną.

I dalibóg, że ten Zaliwski, którego on potępiał, lepszym był od niego. Autor kilku rysami odmalował wybornie tę postać nawskróś prawdziwą. Rozumny, inteligentny, energiczny, gotów każdemu pomagać i dobrze radzić, dbający o kulturę ziemi, człowiek czynu organizujący zjazdy i pogawędki rolnicze, oddający się pracy z zapałem, wymowny, otwarty, szczery, przejęty poczuciem obywatelskich obowiązków, zajmujący się czynnie interesami gminy, powiatu i różnych instytucyj, miał tylko jedną, podobno specyalnie polską wadę: umiejąc radzić innym, nie umiał radzić sobie, i zawsze wierzył, że „jakoś to będzie“. Typ to bardzo często spotykany i dobrze schwytany przez autora. Trzeba go zapewne potępić ze stanowiska etyki i za samobójstwo i za to, że wprowadził w błąd Towarzystwo asekuracyjne, ale nie zapominajmy, że uczynił to w stanie prawie niepoczytalnym, w chwili strasznej walki duchowej. Wymagania etyki są niewzruszone, ale ogrom nieszczęścia łamie najczęściej wszelkie zasady. Kto umie w chwilach strasznych, wobec otwierającej się przed nim przepaści, rażony gromem wypadków, nie zboczyć z drogi obowiązku, ten jest prawdziwym bohaterem. Ale bohaterów mało jest na świecie, nie był nim i Zaliwski. Inna rzecz, czy nie przesadzał swego położenia, czy powinien był oddać się rozpaczy. Autor zdaje się tak sądzić, bo z powieści wyłania się tendencya a raczej chęć przekonania czytelnika, że szlachta wyzuta z ziemi musi ginąć na bruku miejskim, jeżeli nie przygotowała się na zmianę losu przez nabycie fachowych wiadomości do pracy na innem polu. Jestto oczywista przesada, bo widzimy na każdym kroku rodziny obywatelskie, wyzute z mienia, a przecież umiejące zastosować się do położenia i dać sobie radę. Zaliwskiego do owego stanu niepoczytalnego, jaki zaznaczyłem, doprowadziła fałszywa ambicya, obawa upokorzeń dla żony i dla „córki ekonoma“ Szczęsnej. Natomiast przyznać należy, iż rodzina Zaliwskiego przeniesiona do miasta po jego śmierci nie posiadała warunków do utrzymania się, a raczej nie miała, jak to się mówi, „przyszłości“ przed sobą. Ale w tem samem położeniu znalazłaby się po stracie swej „głowy“, każda pozbawiona funduszów rodzina, składająca się ze słabowitej matki, córki i kilkunastoletniego gimnazyalisty. Autor zdaje się chce twierdzić, że Ania Sławińska będąc w zapasach z losem wyszłaby zwycięsko, bo przeszła ona kurs jedwabnictwa i studyowała chmielarstwo. Zapewne, że byłoby jej może, ale tylko może, łatwiej znaleść kawałek chleba dla siebie, ale czy owo chmielarstwo wystarczyłoby także na chleb dla jej matki, i na ukończenie szkół i uniwersytetu dla jej brata?

Posprzeczawszy się nieco z autorem, podziękujmy mu jeszcze raz za silne wrażenie, za postać bohaterki tak piękną przez swe nieszczęście, że ginie przy niej niejedna bohaterka najbardziej rozgłośnych naszych powieści, za wstrząsający wreszcie obraz doli pasierbów losu, których nawiasem mówiąc, więcej dostarcza bruk miejski, niżli pałace wiejskie. Co do faktury powieści zaznaczyć należy, że tom pierwszy nie sprostał nawet w dziesiątej części drugiemu. Ten pierwszy tom czyta się bez wielkiego zajęcia, dopiero w drugim rośnie ono stopniowo i to tak silnie, że prawie z każdą kartą potężnieje wrażenie i wiara w talent autora. To samo można powiedzieć o stylu: w pierwszym tomie jest on

dość banalny, często „robiony“, silący się na kwiecistość, w tomie drugim, a zwłaszcza przy jego końcu staje się prawie zupełnie prostym, naturalnym, — a nigdy chyba nie dość przypominać młodym autorom i autorkom, że największą pięknością stylu jest jego szlachetna prostota.

K. Bartoszewicz.

Laskowski Kazimierz. *Dygnitarze wioskowi. Kosztowni dobrodzieje.* Sylwetki z bruku. Warszawa, Dubowski i Gajewski, 1897.

Kl. Junosza zaczyna wytwarzać szkołę pisarską, której uczniem, godnym mistrza, zdaje się być powyżej wymieniony autor. Sfera ludowa, zaściankowa i sfera geszeftów żydowskich jest wspólna obu autorom, obok trafnej obserwacyi i dosadnej charakterystyki. Tem się tylko różni Laskowski od Junoszy, że u niego przeważa pierwiastek uczuciowy (stąd znaczna doza goryczy) u Junoszy zaś humor i objektywizm.

Dygnitarze wioskowi to najpierw p. Anzelm Grzechotka, pisarz gminy Bezładowa, który „zagrzebał się między chamami i marnieje“. Skarżąc się ustawicznie na biedę, umiał wydobyć zasiłek od dziedzica i dochodzik z „blankietów“ na świadectwa bydlęce lub spisu i szacunku majątku przy spadkach. Długo było dobrze, aż do wybuchu „szkandalu“, jaki spotkał p. Grzechotkę za to, że ściągnął z gminy na koszta szpitalne zamiast 5 rubli — sto! Dostawszy dymisyę osiadł na bruku, a mając „kapitał“ nie chce się więcej z chamami pospolitować.

Wój Stanisław to typ rozsądnego chłopa, który przez spryt wrodzony okrzesawszy się nieco, przy znajomości stosunków wiejskich i ludzi, zdołał ku zupełnemu zadowoleniu gminy rządzić nią przez lat trzydzieści kilka, nie zrzucając sukmany. Synów posyłał do szkół, ale po ukończeniu 4 klas gimnazyalnych kazał im wrócić do sukmany i roli lub handlu.

Przeciwieństwem jego jest Walenty Karpiel wójt, który tylko przez spryt swej żony i poczęstunek został wójtem, ale nie rozumiejąc nic spraw, oddając wszystko na łaskę pisarza, naraził się gminie, a kiedy jeszcze i kwity kasowe zgubił, dostał nauczkę od Magdy, a na następne trzechlecie z dygnitarstwa już zrezygnować musiał.

Kosztowni dobrodzieje to znowu trzy sylwetki z bruku: p. J. Kalchesgrüna, dającego łatwo meble na raty, Hermana Rebochera, specyalisty od teatru i mecenasa sztuki dramatycznej przez pożyczki dawane aktorom, a zwłaszcza aktorkom; i Chila Eselpferda, mającego dla wygody publiczności lombard prywatny. Wszyscy oni są dobrodziejami potrzebujących, nader delikatnymi wierzycielami, ale za swoją fatygę pobierają po 50—100% a jeżeli można i więcej i to głównie od klasy ludzi najbiedniejszej. Ich historye, to historye niedoli ludzkiej, wyzyskiwanej bezlitośnie niemal do ostatniej kropli krwi, to ciemne karty społeczno-ekonomicznej księgi, zapisanej łzami i potem rąk spracowanych.

Roman Zawiliński.

Milkuszyc Marya. *Dziadowie i wnuki.* Powieść współczesna. Warszawa, nakł. T. Paprockiego i Ski, 1897, str. 267.

Kto nie wie jak się przyrządza powieść „współczesna,“ niech się spyta p. Maryi Milkuszyc — ona podyktuje gotową receptę. Oto, bierze się siedmnastoletnią posażną sierotę Martę, która właśnie co ukończyła pensyonat w Warszawie, „prowiduje się“ (sic) ją w nuty, książki, sukienki etc. i po wielu trudnościach wydaje się ją za mąż, za bogatego głupca-despotę (Hieronima), który otacza żonę niesłychanym przepychem, ale obchodzi się z nią jak z dzieckiem i traktuje słodkiem słowem „kocham“ jak karmelkami. W naturalnym porządku rzeczy ojcu idyocie i całej Bogu ducha winnej rodzinie każe się w dalszym ciągu powieści pokutować za złe wychowanie syna rozpustnika, aby się zaś wątek zbyt wcześnie nie zerwał, marnotrawny syn trwonić musi grosz po to tylko, aby go w dalszym toku nudnej opowieści odrabiał z niepospolitą i nieprawdopodobną poczciwością. Gotową fabułę posypuje się pikantnym pieprzem skandalicznych awanturek w rodzaju panny Emmy Routier, a przybrawszy ją efektownymi inicyałami na pięknym papierze i lotnymi motylkami z końcem każdego rozdziału, oprawia się to wszystko w różową z winietkami okładkę i podaje na stół księgarni do tak ogólnie dziś pobłażliwej dyspozycyi żądnych senzacyjnej strawy czytelników.

Taki niechybnie sąd o współczesnej powieści musiała sobie wyrobić p. M. puszczając w kurs swych „Dziadów i wnuków“ i podobnie jak ona sądzi wiele dobijających się rozgłosu piórem kobiet, które naczytawszy się do syta francuskich romansów, w chwilach nudy nabierają nieprzezwyciężonego popędu wzbogacania literatury beletrystycznej wytworami swej „niebiesko-migdałkowej“ fantazyi. Te panie zapominają, że aby napisać dobrą powieść i dostać się do ogrodu Hesperyd, trzeba nietylko zbadać tajniki gramatyki macierzystego języka, lecz że z serca, z duszy płynąć musi wątek owiany tchnieniem prawdziwej iskry bożej.

Autorka, gdyby tylko zechciała uważniej obserwować psychologiczne momenta duszy ludzkiej i wiernie je piórem odtwarzać, porzuciłaby skłonność do senzacyjnej ramoty i dałaby nam opowieść mającą pozór prawdy i życia, podczas gdy w jej powieści epizody ckliwe i afektowane, postaci bez krwi i charakteru banalne opisy natury i dyalog, są lichą, pensyonarską robotą, w której daremnie szukać stylu i języka.

W dodatku nadmienić wypada, że interpunkcya w powieści pani M. jest wprost oburzająca: przecinki

i średniki przerywają tok myśli w najniestósowniejszych miejscach, najważniejszy zaś błąd jeszcze raz zaznaczam, spotyka się go bowiem u niektórych naszych autorów, a zwłaszcza autorek coraz częściej: zapominają mianowicie, że dawno u nas minęły czasy, kiedy to senzacyjna fabuła bez względu na artystyczną prawdę i dobrą obserwacyę życia i natury starczyły na szumne miano „współczesnej powieści“. — Minął wiek złoty....

L. Glatman.

Łoś Mieczysław. *Z pod włoskiego nieba.* Nowele. Warszawa 1897, str. 199.

Nowsza literatura włoska tak mało jest u nas znaną, oprócz popularnego wszędzie Edmunda de Amicis, że prawdziwą zasługę oddaje czytającej publiczności ktokolwiek zechce przełożyć na nasz język który z utworów ostatniej doby.

P. Mieczysław Łoś w książeczce zatytułowanej „Z pod włoskiego nieba“, daje nam przekłady kilkunastu nowelek najcelniejszych włoskich autorów, zaopatrzone dość zresztą suchym wstępem informacyjnym, który oprócz wymienienia wszystkich prawie nazwisk głośniejszych w ostatnich czasach, zawiera pewne wiadomości o życiu i dziełach powieściopisarzy wspomnianych. Dziwnem tylko wydaje się pominięcie tak znanego autora i znacznego talentu, jak Ugo Ojetti.

Utwory wybrane przez pana Ł. nie są to nawet właściwie nowelki, ale raczej szkice ulotne, których główny urok stanowić musi lekkość i wdzięk stylu, oraz żywość opowiadania. Zalety te niezupełnie odnajdujemy w przekładzie pana Ł. Brak mu często swobody, a styl bezbarwny nadaje wszystkim prawie nowelkom pewną cechę banalności. Język wogóle poprawny, z wyjątkiem niektórych błędów jak np.: „ruchem pełnym wdzięku wziął za jej piękną rękę“, albo rażący galicyzm: „nie mamy już *więcej* miłości dla tego człowieka“. Główną ozdobę zbiorku stanowią nowelki p. Matyldy Sezao „Sam na sam“, (wyjęte z jej książki p. t. „Profile“) i pana N. Misasi (Marya Monaco), które subtelnem nakreśleniem uczuć, albo ponurą grozą wyróżniają się od reszty.

Al...

Gawalewicz Maryan. *Niczyja.* Powieść. W Krakowie. Spółka wydawnicza. 1897.

Była artystka-pianistka, pragnąca się dorobić sławy (jej rodzina zaś majątku) i w tym celu przebywająca w Berlinie, był młodzieniec wytworny, sąsiad hotelowy, który artystkę przypadkowo poznał i naturalnie skokietował niedoświadczoną, był wreszcie jego rywal, dawny kolega pianistki z konserwatoryum, kochający, ale wzajem nie kochany. Kolizya: artystka odrzuca artystę, a lgnie do nieznajomego, dowiedziawszy się zaś o tem, że to człowiek — żonaty, gra źle koncert, robi fiasco i wraca do domu bez sławy i pieniędzy, ciesząc się tylko zawsze sympatyą dawnego kolegi i adoratora. — Znacie tę bajkę? Znamy! A więc słuchajcie! powiedział p. Gawalewicz i napisał powieść pod powyższym tytułem, który stąd pochodzi, że p. Natalia Golewska nie lgnie do rodziny, bo ta jej nie rozumie, nie ma serca do Leniewicza, a kochając Tura, nie może być jego — więc pozostaje niczyją.

Jeżeli jednak temat powieści nie nowy, a nawet i zawiązanie intrygi, nowe natomiast i oryginalne, wskutek tego najwięcej zajmujące, są szczegóły wędrówki artystki od biura koncertowego „papy Fuchsa“, do całego szeregu urzędowych recenzentów muzycznych i charakterystyka tych oryginalnych postaci. To jedno ratuje nieco sytuacyę dosyć kłopotliwą i dlatego nie można uznać tej powieści za najgorszą, chociaż postępu w powieściopisarskim tego autora zawodzie, ona nie zaznacza.

Roman Zawiliński.

Jozefat Nowiński. *Świekra* i inne nowelle. Warszawa, nakładem księgarni Gajewskiego i Dubowskiego, 1897, str. 187.

Treść — przykra, forma — trywialna, całość zostawia wrażenie niesmaku. Że „pani Karolowa“ (oszukująca z panem Romualdem poczciwego męża) kłóci się ze swoją świekrą, wymyślając jej w najordynarniejszych wyrazach, a nie o wiele się lepiej wyraża wobec męża lub gości, odpłacających jej takąż monetą, — to po części da się usprawiedliwić chęcią przedstawienia niższych warstw społeczeństwa, — ale i w innych nowelkach n. p. w *Podwójnem bogactwie*, ludzie z wielkiego świata, mający (jak się dowiadujemy) trzydzieści tysięcy rubli rocznego dochodu (wogóle autor jest nader dokładny w rachunkach i cennikach, zajmujących sporo miejsca w opowiadaniu), rozmawiają także w stylu kwalifikującym się raczej do podrzędnej garderoby lub kredensu. I sytuacye niezbyt wykwintne napotykamy co chwila w rzeczonych „nowelkach.“ I tak: rozkochany narzeczony cudownie pięknej panienki z bogatego, obywatelskiego domu, upewnia przyjaciela, że „stary“ (pan domu) musi być w salonie; ten zaś prosi, by goście jak najprędzej się ubrali, gdyż panie są niecierpliwe ujrzenia „najpiękniejszych chłopców na całą okolicę!“ Owa zaś młodziutka i cudnie piękna panienka (Julia Stembark) po wszystkich alejach i altanach ogrodu, we wszelkich porach dnia i nocy, rzuca się po kolei na szyję narzeczonemu lub jego przyjacielowi, upewniając jednego i drugiego o swej niesłychanej miłości; przyczem zwykle jeden z tych panów bywa ukryty w zaroślach i... słyszy, co ona mówi. W dodatku trzeci młodzian zakrada się do pokoju ślicznej (a czekającej na niego także) panienki, lecz w drodze rażony piorunem czy błyskawicą, rozbija głowę i spada z pluskiem, martwy, w kadź deszczówki. Ta kata-

strofa sprowadza rozczarowanie i wściekłość jednego z trzech bohaterów, tak że 25 wiorst pędzi nocą przez pola, a w następstwie ma zatrutą *przeszłość* (taki nosi tytuł wdzięczna nowella).

Wróbel to łagodny, mazgajowaty i osłujący uczeń, a zarazem nadzorca „stancyi,“ lekceważony przez malców, policzkowany przez rodziców za to, że biednemu oddał podartą koszulę; z czasem przegrywa dane przez tychże malców na wpis pieniądze i... truje się gałkami ze strychniną. — *Współlokator* znów pali do siebie z pistoletu po zdradzie przepięknej „kuzynki,“ która nietylko własnego męża miłowała (jednocześnie z „kuzynem“), ale jeszcze trzeciego jakiegoś pana (liczba fatalna, zadająca tu kłam znanemu przysłowiu!) okrywała pocałunkami w salonie, wśród nocy... Słowem, mordy w całem znaczeniu tego wyrazu, przekleństwa i grzech wszelkiego rodzaju zapełniają ten zbiorek. Ani jednego jaśniejszego promyka! Chyba gdy pani Zofia, przed którą mąż udawał ruinę majątkową, postanawia odprawić dwóch lokai, kucharza itd. a nawet wyrzeka się sukni od Hersego. Hojnie też zostaje wynagrodzoną za to niebawem, odzyskuje bowiem lokai i to zręczniejszych niż dawniejsi, konie piękniejsze jeszcze, toaletę na bal itp., a w dodatku mąż pragnie jej „stópki“ ucałować. „Dobrze już, dobrze“ rzecze w karecie rozczulona małżonka — „tylko nie mnij sukni!“

Na tej, stosunkowo najjaśniejszej sytuacyi kończymy wzmiankę o tych wdzięcznych (?) nowelach.

Al...

K. Nitman. *Geneza kwestyi oryentalnej i jej rozwój aż do bitwy pod Mohaczem w roku 1526.*

Porównawszy upadające pod panowaniem ostatnich Paleologów cesarstwo greckie z tworzącą się w Azyi Mniejszej potęgą sułtanów, potomków Osmana, pokazuje autor, jak się Turcy przez Hellespont przeprawiają, osiadają na gruzach odwiecznej monarchii bizantyjskiej, a z Konstantynopola coraz więcej posuwają się na zachód.

W broszurce, ledwie 38 stron liczącej, nie może pan Nitman wchodzić w szczegóły. Czytelnik z historyą obeznany, w jego dziełku nic nowego nie znajdzie. Wolno zapewne przypuszczać, iż p. N. żadnych pretensyj do oryginalności nie rościł w przedmiocie tak często i gruntownie już badanym. Chodziło mu jedynie o ogólny zarys nader ważnej dla świata chrześciańskiego epoki historycznej i celu swego szczęśliwie dopiął. Fakta umiejętnie powybierał i ugrupował, przedstawił je jasno tak, że z całości bardzo dokładny wynika obraz „Kwestyi oryentalnej“ od jej początku do pierwszej połowy XVI. wieku.

Europa, nędznem oślepiona samolubstwem, dobremi słowy zbywa błagających o pomoc Paleologów. Na wzywania Stolicy świętej odpowiadają państwa zachodnie obojętnością: Islamizm to niby niebezpieczeństwo grożące tylko ludom bałkańskim; niech się same bronią. Później, poznawszy swój błąd, próbuje Zachód walki, ale papieże darmo wojnę świętą wypowiadają; ostygła wiara, zatem zmalały siły. Zaciągające się pod zygmuntowskiemi sztandarami rycerstwo waleczne, ale niekarne, szuka tylko przygód i łupu: pod Nikopolis rozbija je Bajazet I. Turcy powoli korzystają z wszystkich intryg, z wszystkich sporów, a gdy już nad kościołem zofijskim złoty błyszczy półksiężyc, czas wyparcia najezdników już minął. Przekonali się zresztą doświadczeniem Wenecyanie, że z bisurmanem korzystnie traktować można. Stolica święta miękko wspiera Polskę i Węgry, walczące mniej już za wiarę, niż za granic obronę. Papiestwo zwraca uwagę głównie na ruch reformacyjny niemiecki; Europa coraz bardziej staje się obojętną: złoto amerykańskie hypnotyzuje królów katolickich. Tymczasem wzmacnia się ciągle moc turecka, a gdy Franciszek I. król Francyi w walce z Karolem V. ulegnie, to Sulejman Wielki stanie się jego sojusznikiem. Klęska pod Mohaczem, zawojowane Węgry, oto są skutki bezbożnej unii królewskiej lilii z półksiężycem.

Taka jest treść doskonałej rozprawki p. Nitmana. Smutny to okres w historyi stosunków europejsko-tureckich. Dzięki Bogu, dalsze kartki tej historyi, tak osobliwie chlubnej dla polskiego oręża, bardziej są pocieszające.

J. Błociszewski.



Przegląd Przeglądów.

I. Istota i zadanie powieści.

Przed paru miesiącami w „Słowie“ warszawskiem podjął p. Stanisław Hłasko kwestyę: Co to jest powieść? Na artykuł jego, w którym przemawiał w obronie celów etycznych powieści, wystąpił z odmiennem zdaniem p. L. Grendyszyński, redaktor odniedawna wychodzącego „Kuryera niedzielnego“. Pan G. nie poprzestał jednak na swojem zdaniu, ale prosił powieściopisarzy i krytyków, aby w tym sporze udział wziąć chcieli. Do tej chwili „Kuryer niedzielny“ wydrukował pięć opinij w tej sprawie, a mianowicie A. Dygasińskiego, Cz. Jankowskiego, M. Rodziewiczówny, C. Walewskiej i W. Kosiakiewicza. Dalsze opinie, pomiędzy któremi ma się znajdować również pogląd na tę sprawę H. Sienkiewicza, mają przynieść następne numera „Kuryera niedzielnego“.

P. Dygasiński twierdzi, że może być tak samo sztuka dla sztuki, jak dla prawdy, dla społeczeństwa,

dla chwały, dla zabawy, dla moralności. Ale chociaż można pisać i malować dla różnych celów, to żadne z nich nie otwierały źródeł twórczości wielkim potentatom sztuki i literatury. „Definicye, teorye powstają dopiero po zjawiskach“ — z celami naprzód powziętemi można zakładać tylko przedsiębiorstwa literackie, sklepy malarskie itd. „Sztukmistrz musi się wyrazić na zewnątrz tak jak chce i nic więcej, a z tego dopiero powstaje sztuka codziennie nowa, inna, oryginalna“. Stąd „prawdziwy mistrz tworzy nowe prawodawstwo w swojej dziedzinie“ — nie ma przodków ani następców, może mieć jedynie naśladowców. „Trzeba uznać czystą, bezinteresowną potrzebę talentu twórczego, który się musi tak wyrazić, jak mu nakazuje jego własne natchnienie... Dzisiejsze czasy mogą usiłować, ażeby sztukę zamienić na służebnicę dążności społecznych; atoli dążności takie są chwilowe, przemijające i dzieło sztuki, będące w ich służbie, musiałoby utracić swą wartość. Wszelki utylitaryzm bieżący, z góry przepisany jako zadanie sztuki, zgotowałby upadek, śmierć najwspanialszego z kwiatów, które ludzkość wydała... Arcydzieło sztuki jest równie kosmopolityczne, jak odkrycie prawdy naukowej, a jedna i druga nie mają żadnego zewnętrznego interesu, nie zawierają ugody z żadnemi celami, są koniecznością, potrzebą genialnej ludzkiej jednostki i nic więcej“.

„Sztuka — pisze dalej p. D. — jest bezcelowym instynktem tworzenia, miłością pracy twórczej... Skoro już utwór sztuki powstał, można go naciągać do różnych celów; ale powstanie jego zawdzięczamy jedynie potrzebie artystycznego tworzenia. Artysta bawi się tworząc i dlatego tworzy. „Bawi się“ jest może wyraz najodpowiedniejszy, jakkolwiek zgorszy tych, którzy lubią w takim razie widzieć „głęboką zadumę duszy“, prawić o „bolesnym porodzie“ itd. Mojem zdaniem, na miejsce owej miłości tworzenia, zapału do roboty swojej własnej, nie da się podstawić nic a nic innego...

„Jak mi się zdaje, za dużo jest hałasu o obserwacyi artystycznej, o naturaliźmie w powieści i o szkołach pisarstwa wogóle.... Obserwacya, rzecz prosta, musi odgrywać rolę w twórczości artystycznej, ponieważ umysł za pomocą zmysłów czerpie materyały swoich wyobrażeń o świecie. Ale każdy artysta nosi ze sobą swoje własne zmysły, spostrzega i odczuwa świat po swojemu, a nikt go tu zastąpić, wyręczyć nie jest w stanie: obserwacya stanowi jego tajemnicę, podobnie jak tajemnicą osobistą jest sposób, w jaki umysł z obserwacyi wyciąga pożytek. Znowu więc i tu indywidualność artysty wszystko znaczy. Bynajmniej nie chodzi o obserwacyę wyczerpującą, ścisłą, tylko — o artystyczną, jego własną. Dana chwila, dane usposobienie, wywołują w umyśle jakieś szczęśliwe skojarzenia wyobrażeń, uczuć, dających początek pracy twórczej. Wszystko to stanowi indywidualną własność artysty. Nie robił obserwacyi ani w celach moralnych, ani niemoralnych, tylko ją zrobił po swojemu i w umyśle przerobił po swojemu. Dzieło jego będzie arcydziełem, choćby przedstawiało przedmiot niemoralny, jeżeli on jest mistrzem. Cóż to za obserwacya, jeżeli sobie artysta wyobraża anioła, szatana, czarownicę, Tatarzyna, Zagłobę, bitwy, których nigdy nie widział?...

„Za dużo się mówi o obserwacyi, za mało się zagląda do duszy artysty, na czem krytyczna obserwacya właśnie polegać powinna. Częstokroć przypadkiem spostrzeżony przedmiot wywołuje takie zarojenia się myśli i uczuć, że artysta oprzeć się nie może zachęcie do tworzenia, zaczyna pracować, a wewnątrz siebie słyszy głos: „Rób, rób dalej!“ Jak nie robić, kiedy się narzuca tyle obrazów, godnych już łez, już śmiechu?... Ten pociąg, ta żyłka do tworzenia, stanowią prawdziwą tajemnicę artysty. On robi, pracuje tylko dla własnej przyjemności i dlatego właśnie dzieło jego ma wartość...

„Znam pisarza, którego podczas przechadzki za miastem uderzyła w oczy kość biała, gnat koński, wymyty przez deszcze, wyprażony przez słońce. Na kości leżał zbiedzony pies i pracowicie do niej przykładał szczęki to z prawej, to z lewej strony, a przecież nie miał co ogryzać. Od dwóch miesięcy widmo psa i gnata prześladuje wyobraźnię pisarza i założyłbym się, że z tego powstanie nowela. Przecież pobieżnego spostrzeżenia nie nazwiemy tu obserwacyą i musimy wyznać, że to jest jego własna artystyczna obserwacya. Taką samą pobudkę do pracy twórczej może dla pisarza stanowić cudze opowiadanie, obserwacya z drugiej, albo i dziesiątej ręki.

„Za wszystko poręcza jedynie talent, a na jego podtrzymanie, jeśli tylko jest talent istotny, nie potrzeba ani celów, ani obserwacyi, ani szkół literackich“.

P. Czesław Jankowski rozpoczyna od cofnięcia się w przeszłość, a mianowicie przypomina rozbiór krytyczny „Malwiny“ pióra Jędrzeja Śniadeckiego. Chwalił on „Malwinę“ za to, że nie opisuje „poczwar rozpusty“ i nadzwyczajnych zdarzeń, które przez gwałtowne wstrząśnienia serca marnotrawią i przytępiają tkliwość, psują rozsądek... Śniadecki nieraz patrzał na „okropne skutki lekcyj romansowych“, choroby nerwowe, wygórowaną czułość, dziwactwo humoru itd., słowem na ruinę zdrowia, rozsądku i pokoju duszy. „Malwina“ natomiast wskazuje, że „działać dla cnoty jest to najpewniejszy sposób działać dla szczęścia“. W samem zatem zaraniu naszej powieści był już dla niej program wytknięty: „zapędzono ją w służbę etyki i dydaktyki w imię dobra, pożytku ogółu“. Pogląd ten był poniekąd echem współczesnych poglądów na zadanie sztuki plastycznej, na dowód czego przypomina pan Cz. J. zapatrywania Jakóba Ludwika Dawida i Sulzera, autora „Teoryj sztuk pięknych“. Niestety jednak — mówi p. J. — dzieła sztuki, jeżeli chcą niemi pozostać, nie mogą służyć żadnemu utylitaryzmowi,

Piękno w nich zaklęte „tworzy swój własny świat, oddziaływujący nieraz i silnie na etykę, ale nie będący w niewolniczej od niej zależności“. Dzieło istotnie piękne, nigdy nie obraża etyki. „Zadowolnienie estetyczne, które budzi, starczy za najsurowszy frazes kaznodziei“.

Powieść jest także dziełem sztuki — jest ona *sui generis* dziełem pisarskiego kunsztu, stojącem „własną naturą, własnym rodzajem“. Nie jest ani mową polityczną, ani traktatem filozoficznym, ani kazaniem, ani kroniką dziejów współczesnych. „Jak w Homerze nie szukamy wzorów do naszego postępowania i działania, tak i od powieści współczesnej powinniśmy wymagać jedynie zadowolenia estetycznego.“

Jako forma literackiego utworu daje nam powieść odtworzenie prawdy życiowej lub fantastycznej fikcyi. Odtwarzając rzeczywistość, powieściopisarz albo występuje w roli fotografa, albo nadaje tej rzeczywistości pewien, z góry uplanowany układ. „Zola lub Garszyn w tematach wojennych odtwarzają epizody i ich otoczenie z nieubłaganym realizmem. Sienkiewicz natomiast w „Potopie“ daje nam obraz heroiczny.“ Dla wytłómaczenia tych dwóch odmiennych sposobów tworzenia, „postawiono tezę, że każdy pisarz patrzy na rzeczywistość lub zmyślenie przez pryzmat własnej indywidualności.“ Pan J. wyprowadza z tej tezy wniosek, że pisarz, który tylko umie niewolniczo rzeczywistość odtwarzać, żadnej indywidualności nie posiada. Wniosek ten prowadzi autora artykułu do potępienia naturalistów, realistów i modernistów. Pierwsi łechtają tylko zmysłowość lub popisują się wirtuozowską spostrzegawczością. Źle pojęty realizm kazał „wywlekać na papier to wszystko z życia i świata, co jeszcze dotychczas nie figurowało w powieściach“. Ponieważ „na obrazach holenderskich znajdowały się jatki z rozpłatanemi krwawemi ćwierciami wołów, przeto moderniści powiedzieli sobie, że mogą opisywać gnijące sery i cuchnące rynsztoki.“ Ale jak nie każdy obraz holenderski jest dziełem sztuki, a tylko popisem technicznej biegłości malarza, tak i powieść na nim wzorowana na miano sztuki nie zasługuje. Są to tylko „eksperymenta, czy taka niebywała strawa nie przynęci zblazowanego czytelnika“. Ani chore osobniki d'Annunzia, ani bydlęta Zoli, nie dadzą zdrowemu czytelnikowi estetycznej rozkoszy.

Jeżeli autor za podstawę do powieści bierze fikcyjną akcyę, to jest w niej zawsze myśl przewodnia, tendencya. Powieść, której myśl przewodnia nie odpowiada wrodzonym człowiekowi szlachetnym instynktom, budzi niesmak, przestaje być dziełem sztuki. Prawda, że w życiu występek zwycięża cnotę, ale sztuka i życie to dwa odrębne światy. „Życie do sztuki ma się tak, jak Małgorzata z pierwszej części „Fausta“ do Heleny z drugiej części. Życie odbija się w sztuce jak w zwierciedle, ale w zwierciedle cudownem. Życie w sztuce jawić się nam powinno w pewnem przebóstwieniu (Verklärung), w świetle tych tak okrzyczanych, ośmieszonych i wyszłych z mody ideałów.“

Powieściopisarz niemający w duszy swej ideałów „może stworzyć świetne wizerunki, doskonałe kopie rzeczywistości, igraszki stylowe, satyry imponujące spostrzegawczością, ale nie stworzy dzieła sztuki.“ Kazano publiczności przełykać „sosy i bigosy naturalistyczne, pesymistyczne, dekadenckie, fizyologiczno-filozoficzne, a pół na pół spekulanckie. Publiczność zwiedzała brudne i ciemne zaułki życia, bo jej „kazano wierzyć, że powieściopisarz to surowy kronikarz, gromadzący dokumenty i materyały dla użytku — przyszłych pokoleń i w imię dobra tych przyszłych pokoleń, współcześni obywali się w dziełach sztuki pięknej bez — sztuki.“

Tymczasem wszelkie zadowolenie estetyczne, jakie czerpiemy ze sztuki, z natury rzeczy samo już uszlachetnia i podnosi. Nie trzeba przeto na sukurs powieściom wzywać etyki i dydaktyki. Powieściopisarz godny tej nazwy i bez trzymania się ich jak ślepy płotu, stworzy dzieło, „do którego, jak do ożywczego zdroju, uciekać się będą ludzie upadający ze znużenia i wyczerpania, zachwiani moralnie, zbłąkani po rozdrożach ziemskiego padołu...“

„Gdy Saul szalał — tak kończy swój artykuł p. Cz. J. — Dawid grał mu na harfie i ukojenie sprowadzał mu do duszy i myśli jego w lepsze jakieś unosił światy, że król odziczały i nie władnący sobą, z dzikiego zwierzęcia stawał się znów człowiekiem lepszym i szczęśliwszym. Otóż w powieści otwartej szeroko dla wszelkiej myśli przewodniej, dla wszelkich powikłań fabuły, dla wszelkich zgoła tematów, powiedzmy wreszcie, dla wszelkiej t. zw. tendencyi — niechże będzie ów czar harfy Dawidowej, ów czar nieziemski istotnego piękna sztuki, niech będzie w niej promień ideału, piętno tego elizejskiego świata ducha, skąd przychodzić do nas powieść powinna“.

P. Rodziewiczówna odpowiada tylko i to krótko na pytanie, jak tworzy. „Nigdy się nie zastanawiałam — są jej słowa — nad żadną z kwestyj, o które mnie pytacie. Piszę, jak śpiewa kosarz na polu — między jednym przekosem a drugim — żeby ramiona wypoczęły. Niech go się pytają z jakiego tonu! Ramionami ruszy. Tak i ja.

„Jak ja tworzę — albo ja wiem! Myśli chodzą po głowie i, chodziłyby tak samopas wiecznie, gdyby nie redakcyjne napędzanie. Jak mocno napędzą — siadam i piszę — im więcej napędzają — tem prędzej — i zdaje mi się — że lepiej.

„Nigdy nic nie poprawiam, nie kreślę, ani przepisuję, pomimo jednogłośnej krytyki, że niedbale opracowuję. Co prawda, nie mam na to czasu i jakem wyżej mówiła, nie uważam się za powieściopisarkę z zawodu, a tylko tak — z wypadku. — Oto i wszystko, co wiem — co prawda — nie wiele“. Rzeczywiście: nie wiele, ale przynajmniej otwarcie, bez pozowania.

P. Cecylia Walewska odpowiada na kwestyonaryusz artykułem: „Czego żądam od powieści“? Żąda więc przedewszystkiem „subtelnej artystycznej formy, którą może zastąpić nastrój jedynie“. Pomysł, według pani W., to rzecz najłatwiejsza (?) do zdobycia — potrzeba mu tylko nadać artystyczne kształty. Dalej dowiadujemy się rzeczy, które chyba nie są tajemnicą dla nikogo, posiadającego zmysł krytyczny, a mianowicie, że czytelnik powinien się sam domyślać intencyi autora, a nie chwytać ją „z długich i nudnych sentencyj“, że nie należy w powieści „suchym stenograficznym sposobem notować ważniejsze fakty i wydarzenia życiowe“, lecz trzeba je ubarwiać, „doprowadzać do tragicznych i komicznych powikłań“, że należy dać czytelnikowi psychologiczną prawdę, że epizody powinny się zlewać w jednolitą, jędrną całość itd. Najsilniej występuje pani W. przeciw gawędziarstwu, rozwlekłości i nudzie, „powtarzaniu tych samych zdań, myśli, okresów, spostrzeżeń, stanów psychologicznych, przygód, wrażeń i opisów zewnętrznej postaci bohaterów“. To gadulstwo, a nie co innego, pomimo znacznej liczby prawdziwie doniosłych, wielkich talentów powieściopisarskich, utrzymuje beletrystykę naszą na szarym, bezbarwnym poziomie... Ujęcie formy artystycznej, wdrożenie się w nią, nabranie rutyny w kształtnem odtwarzaniu obrazów, postaci i myśli, po za intuicyjną pomysłowością, po za talentem grupowania pojęć, po za wrodzonem poczuciem praw estetyki, wymaga niesłychanej cierpliwości w zrozumieniu i logicznem zastosowaniu pewnych koniecznych reguł architektoniki pisarskiej... Maupassant przez lat kilkanaście darł większość rękopisów, nie mogąc zadowolnić mistrza swego, Flaubert'a. Heine czy Balzac twierdził, że autor nie powinien nigdy zawahać się przed wykreśleniem najpiękniejszego ustępu swej pracy, jeżeli ten psuje jej całość“. Nieraz jednak nawet powieść nużąca, rozwlekła, przeładowana szczegółami i analizą „czaruje i odurza wonią lilii białej, jeżeli stworzyło ją żywiołowe odczucie wielkich potęg zmysłowego i nadzmysłowego życia, to uchwycenie tajemniczości przyrody w stosunku do człowieka, to rozlanie się myśli twórczej w ogromie nieuchwytnych refleksyj, to wielkie kochające, bólami świata zorane serce, które rodzi n a s t r ó j łamiący jarzmo formy“.

Piąty z kolei zabiera głos p. *Wincenty Kosiakiewicz*, a ponieważ pisze z Paryża, więc zapowiada, że ma do powiedzenia rzeczy niezbyt „epatujące“ (dzięki za nowy wyraz, wzbogacający mowę naszą) i że będzie „ogromnie kategoryczny“. Kategoryczność ta wygląda tak: „Powieść powinna być tem, czem ją powieściopisarz uczyni, z tym dodatkiem, że człowiek bez talentu... nigdy nie będzie powieściopisarzem (ktoby o tem myślał!). A jaka ma być powieść, to rzecz powieściopisarza: tendencyjna, czy nietendencyjna, to wszystko jedno. Na zapytanie, czy powieść ma malować prawdę, czy być dziełem fantazyi, czy ma opierać się o etykę i t. d., odpowiada p. K. trzykrotnie: „Jak *jemu* się spodoba, jak *jemu* się spodoba, jak *jemu* się spodoba“ (to *jemu* znaczy: powieściopisarzowi).

Po tej rzeczywiście kategorycznej i niezbyt „epatującej“ rzeczy, przychodzi ustęp dwudziestokilkowierszowy o tem, jak sam p. Kosiakiewicz pisze. Przytaczamy dosłownie pierwszą połowę:

„Teraz ja. Mój sposób tworzenia był taki (w dużej większości wypadków). Pewnego razu coś mi tam niejasno w głowie zamajaczyło: czasem było to coś, niby sytuacya (jak w „Gąsiorkowskim“), czasem jakaś figura człowiecza (jak „Łatkowski“), czasem jakaś grupa detali (jak „Przy budowie kolei“).

„Tegoż dnia wieczorem leciałem na Mazowiecką ulicę do celi pewnego pustelnika, gdziem bawił od 3 do 5 godzin.

„Wychodziłem ztamtąd nieraz lekki, jak po silnem wzięciu na przeczyszczenie. Ale nieraz brzemienny, niosąc gotową powieść w brzuchu („Biedna powieść! — „warta uczciwszego pomieszkania“, jak mówił Wacław Potocki. *Przyp. red.*).

„W pierwszym razie czekałem, aby mi znowu coś tam w głowie zaświtało.

„W drugim — czekałem na natchnienie“ (z „gotową powieścią w brzuchu!“).

Przyznamy się, że ze strachem będziemy odtąd brali do ręki każdą powieść p. Kosiakiewicza, aby nie wywołała takich skutków, jak te 3 do 5 godzin, które bawił p. Kosiakiewicz „w celi pewnego pustelnika“. To się nazywa obrazowość, to mi styl prawdziwie paryski!

W końcu p. Wincenty zaznacza, że *„brak u nas choćby jednego człowieka, coby był w stanie o produkcyi artystycznej napisać choćby jedno rozumne słowo“*. Obyśmy mogli przynajmniej żywić nadzieję, że Paryż zwróci nam pana Wincentego, który prawdopodobnie stałby się owym *jednym człowiekiem*, mogącym nas wyprowadzić z ciemności egipskich.

Możeby nam coś w głowie „zamajaczyło“.



UWAGI.

Znakomity nasz pianista Paderewski rozpisał konkurs na prace dramatyczne. Słusznie zauważono, że zadaniem kazdego konkursu jest wywołanie sił nowych, że konkurs chybia celu, kiedy wychodzą z niego laureatami ludzie w danym kierunku oddawna, a często wyłącznie pracujący. Jaki np. może być pożytek z konkursu dramatycznego, na którym otrzymują nagrody K. Zalewski, M. Bałucki i t. p., ktorzy i bez konkursu

stale zaopatrują scenę w prace swego talentu. Przyznanie słuszności tym uwagom było zapewne powodem, że Paderewski „przeznaczył konkurs dla młodych autorów do 35 lat wieku“. Warunek napozór racyonalny, ale w gruncie rzeczy humorystyczny i nieodpowiadający stosunkom.

Nie idzie tu o Bałuckich i Zalewskich, ale dlaczego człowiek mający lat 35 i miesiąc, a który dotąd na niwie dramatycznej nie pracował, lub nie miał odwagi czy... stosunków, aby utwory swoje, spoczywające w tece, na scenie wystawić, ma być pozbawiony ubiegania się o pierwszeństwo. Takiemu Szutkiewiczowi (nie wiemy ile ma lat — a może 35 i dzień jeden) odrzucono „Popychadło“ na konkursie, nie chciano go grać na scenach ogródkowych — i dopiero przypadkiem, kiedy jakaś „nowość“ nie dopisała, dyrektor ogródka zdecydował się wystawić tę „miernotę“. Tymczasem okazało się, że „miernota“ jest lepszą od wielu sztuk wystawionych bez przeszkody, a nawet nagrodzonych na konkursach. Czy takich Szutkiewiczów więcej być nie może? A drugi przykład: dr. Rabski, autor „Zwyciężonego“, rzeczy bezwarunkowo napisanej z talentem, od trzech lat bezskutecznie stara się o wystawienie swego dramatu na scenach lwowskiej i krakowskiej. Ile ma lat? — także nie wiemy — ale iluż takich być może, co zniechęceni w taki sposób rzucili uprawianie sztuki dramatycznej, a konkurs mógłby ich wyrwać z tego zniechęcenia. Albo jeszcze jedno: człowiek młody dla kawałka chleba oddaje się dziennikarstwu. Orze z dnia na dzień, rozprasza się na drobiazgi, aby na jutro zarobić. Czuje w sobie zapał, chęć tworzenia, ale ciężkie warunki nie dozwalają mu wziąć się do większej pracy, za którą tam kiedyś (jeżeli się uda) może dostać honoraryum. Trzeba dzieci nakarmić, trzewiki im sprawić — a więc precz ze sławą! — pisz na gwałt „od wiersza“, bo jutro, lub za tydzień najdalej za to ci zapłacą. Ale przychodzi pora względnego polepszenia bytu — no, teraz z trudem bo trudem, ale może sobie pozwolić na „popełnienie“ komedyi. Pisze ją więc, ale nie spieszy się — kiedyś to tam się dokończy! Bo zresztą napisze i co potem? — spotka go los Szutkiewicza lub Rabskiego — miła historya! Zresztą jest już człowiekiem starszym, prosić się bardzo dyrekcyj nie wypada, — a nuż, choćby przedstawili, rzecz będzie słaba i sztuka „padnie“. Możnaby ją wprawdzie dać do oceny jakiemu krytykowi lub komedyopisarzowi, ale szukaj tu bezstronności zdania! Jeden zgani przez zazdrość lub dlatego, że rzecz nie w jego guście — drugi pochwali, ale czy można wierzyć w pochwałę podyktowaną może zdawkową grzecznością (boć to dyabelnie nie miło powiedzieć komuś: pan nie masz talentu, szkoda twej roboty). Ale na szczęście Paderewski ogłasza jakiś konkurs o kilku nagrodach. Dokończę mej komedyi (myśli sobie taki autor) i poszlę bezimiennie — mądre głowy będą ją sądziły, a więc jeżeli nagrodzą to człowiek wypłynie i zacznie pracować na naszej ubogiej niwie dramatycznej, a jeżeli odrzucą — niema wstydu, nikt o tem wiedzieć nie będzie. I takiemu to autorowi (kto wie czy nie zdolnemu) zrzednie mina, kiedy przeczyta warunki konkursowe. Biedaczysko urodził się 28 kwietnia 1862 r. — a więc w dniu 1 stycznia 1898 (termin konkursu) o 240 i coś dni będzie za stary. Chyba podrobić metrykę! — bo, lubo warunki konkursu o tem nie wspominają, radzimy konkurującym o nagrody załączyć metrykę chrztu, poświadczoną przez władze miejscowe, a jeżeli autor pochodzić będzie z Galicyi, to i przez ministerstwo spraw wewnętrznych i ambasadę rosyjską!

Żart na bok, — ale czy my mamy taki zastęp sił twórczych (zwłaszcza na polu dramatycznem), abyśmy przy ogłaszaniu konkursów, aż wiekiem musieli ograniczać napływ ludzi zdolnych, ubiegających się o nagrodę. W tym wypadku ten warunek jest nawet niebezpieczny — bo kto chce n. p. napisać dobrą komedyę, ten musi mieć już pewne doświadczenie życiowe, — do tragedyi i dramatu już prędzej sama fantazya wystarcza. Nie do każdego zapewne to się stosuje, ale... Bliziński miał już dobrze czterdziestkę, kiedy napisał „Pana Damazego“. Otóż łatwo zdarzyć się może, że do konkursu staną sami pisarze niedoświadczeni, a niedojrzałość ich utworów znajdzie chyba usprawiedliwienie w tem, że... jeszcze 35 lat nie skończyli. A skończ sobie komedyopisarzu lat choćby 80, byleś dobrą rzecz napisał!

Ależ w takim razie (może ktoś powiedzieć) staną do konkursu znowu znani komedyopisarze, a wszak na początku tej uwagi wyraźnie powiedziano, że każdy konkurs powinien dać pole do popisu siłom nowym. I na to jest rada. Zamiast ogłosić: „konkurs jest przeznaczony dla młodych autorów do 35 lat wieku“, niech Paderewski oświadczy: „pisarze dramatyczni, którzy przed r. 1885 utwory swoje na scenach polskich wystawiali, nie mogą ubiegać się o nagrodę“. Będzie i wilk syty (choć niezadowolony — bo pod wilkiem rozumiemy starszych, znanych już pisarzy dramatycznych), będzie i koza cała, którą reprezentują ci nieszczęśliwcy, co urodzili się przed 1 stycznia 1863 r. i którym jeszcze za to wymyślają warunki konkursowe od... starych autorów.

Bicykl górą wszędzie, a więc i w dziennikarstwie. Nasze dzienniki i dzienniczki poświęcają całe szpalty (których nie mają zazwyczaj dla literatury) rozmaitym „rekordom“, — telegramami zawiadamiają społeczeństwo kto o której godzinie i o której minucie stanął u mety. Podczas lata wszystko w naszych dziennikach schodzi na plan dalszy wobec cyklistów — jedynie wyścigi konne są w stanie wytrzymać z nimi rywalizacyę. Pisma ilustrowane podają portrety zwycięzców na re-

kordach i „widoki z pola bitwy.“ Słowem, gdybyśmy wierzyli większości naszej prasy (a kto wie, czy potomni nie uwierzą), jazda na rowerach zapanowała nad wszystkiemi kierunkami naszej... społecznej działalności.

Nie dość na tem. Cykliści mają swoje własne specyalne organy, w których poważnie, źródłowo, traktują sprawę popularyzowaną przez dzienniki i pisma ilustrowane. Nic dziwnego, że takie poważne organy chcą mieć styczność z poważnymi przedstawicielami literatury. To też warszawski „Cyklista“ wpadł na myśl rozesłania zaproszeń do wybitniejszych literatów, aby wypowiedzieli swe zdanie o cykliźmie. I co powiecie? Nasi poważni literaci, których tak trudno napędzić do jakiejkolwiek pracy zbiorowej, od których często trudno wydusić artykulik do wydawnictwa filantropijnego lub popierającego cele społeczne, którzy z dziwną apatyą nie mogą się zdobyć na leżące w ich interesie „stowarzyszenia bratniej pomocy“, a jedynemu istniejącemu nie dają poparcia, — stanęli w liczkie 23 do apelu „Cyklisty“.

A więc i poważna literatura złożyła hołd rowerowi. Tyle przynajmniej pociechy, że połowa tych przygodych współpracowników „Cyklisty“ wykręciła się zdawkowemi frazesami lub też żartem. Byli nawet tacy (i ci są zupełnie w porządku) którzy wyraźnie zaznaczyli bezsensowność „sportu“ rowerowego, lub dali do zrozumienia, że i głowa także coś znaczy, że do istnienia na świecie mają oprócz rowerów niejakie prawo także: wiedza, sztuka, cnota, że może należałoby nawet im nieco więcej sił, zapału i... reklamy poświęcać, niż bohaterom o cienkich łydkach, zawieszonym od szyi do pasa medalami. Ale druga połowa wezwanych i wybranych całkiem seryo pojęła swoją misyę, a na czele tej połowy stanął... Sienkiewicz. Hołd złożony cyklistom rozpoczyna on od zdania: „Ja, który wprowadziłem do naszej literatury powieściowej cały szereg ludzi zdrowych, wyjątkowo silnych“ i t. d. Jakto więc zdrowych ludzi nie było przedtem w naszych powieściach? Nam się zdaje, że przeciwnie, że dopiero Sienkiewicz wprowadził Płoszowskich, Zawistowskich i wreszcie Połanieckich, których wyjątkowo silnymi i zdrowymi przecie nazwać nie można. Chyba, że Sienkiewicz miał na myśli siłę fizyczną, reprezentowaną przez Podbipiętę, trzy łby naraz ścinającego, lub Ursusa dającego radę turowi. Alež to postacie ze świata fantazyi, nie rzeczywistości. Jeżeli zaś idzie o charaktery zdrowe, to Sienkiewicz właśnie jest mistrzem w odtwarzaniu charakterów słabych i niezdrowych.

Reklama nie przebiera w środkach. Wychodzą, jak wiadomo, w Wiedniu w języku polskim, nakładem firmy Bondy'ego „Dzieje powszechne illustrowane“, przeróbka ze Spamera, której poważna krytyka odmówiła wartości. Nic to jednak nie przeszkadza wielu naszym naiwnym dziennikom reklamować wiedeńską tandetę. Reklama dochodzi do tak potwornych rozmiarów, iż jedno z pism warszawskich nie wahało się napisać, że „wykonanie illustracyj według najnowszych metod po raz pierwszy stawia wydawnictwa polskie na poziomie postępu osiągniętego zagranicą,“ Jestto wprowadzanie w błąd publiczności, bo naprzód możnaby zakwestyonować nazwę „wydawnictwo polskie“ przy tłómaczeniu rzeczy niemieckiej, tłomaczeniu przez firmę niemiecką wydanem i w niemieckiej drukarni odbijanem, a następnie co może być polskiego w kliszach niemieckich, wziętych z dzieła niemieckiego? Dodać jeszcze można, że klisze te jako kilka razy poprzednio użyte noszą na sobie w znacznej części ślady zniszczenia. Ale reklama taka opłaca się, naturalnie nie redakcyi, bo zarzutu takiego nawet na myśli mieć nie moglibyśmy, ale reklamiście, który nadużywa jej zaufania dla popierania obcej tandety!

Ach! ta reklama, ta reklama, — gdzie spojrzysz wszędzie wszechwładnie panuje. Jeszcze żadne n. p. z dzieł ducha, myśli lub sztuki polskiej nie zostało tak powitane w Warszawie jak „Golgota,“ panorama Jana Styki. Jedno z pism illustrowanych poświęciło jej cały numer — i w innych pismach illustrowanych, nawet w pisemkach dla dzieci i dla ludu, Golgota prawie wyłącznie od paru tygodni panuje. Kilkudziesięciu publicystów, powieściopisarzy, fejletonistów i poetów zaczerpnęło natchnienie z tego hemicyklu. Widocznie w rozumieniu redakcyj warszawskich „Golgota“ stanowi epokę w naszej sztuce, a nawet w życiu społeczeństwa. Ciekawi jesteśmy, co się stanie, jeżeli rzeczywiście wielkie dzieło sztuki ukaże się w Warszawie. Dodać winniśmy jeszcze, że nawet między dotychczasowemi panoramami polskiemi „Golgota“ nie zajmuje naczelnego stanowiska. Zagranicą panoramy traktują się już jedynie jako przedsiębiorstwa artystyczne.

A dziennikarswo galicyjskie? To znowu zna jedyne wydawnictwo godne poparcia najszerszego ogółu, a wydawnictwem tem są... „Mody paryskie.“ Co dwa tygodnie przecięciowo czytasz, żądny wiadomości literackich czytelniku, że Mody paryskie „stanęły na równi z najpierwszemi wydawnictwami zagranicznemi“, że pismo to jest „świetnie redagowane,“ że treść jego literacka jest „wysoce zajmująca“, że w dziale krojów lub też rycin żurnalowych przygotowała redakcya „prawdziwą niespodziankę,“ że wreszcie jest obowiązkiem naszych pań w imię patryotyzmu i dobra własnego użyczać poparcia i opieki tej zadawalającej wszelkie wymogi (cudowny wyraz!) publikacyi. Mało brakuje, a posypią się składki, jeżeli już nie na pomnik, to przynajmniej na wieniec złoty dla „poświęcającego się“ wydawcy.



Bibliografia czasopism polskich

za styczeń 1897 roku.

I. Beletrystyka.

Asnyk. Do Prusa, wiersz. Kuryer codzienny, nr. 1.
Bełza A. Na nowy rok 1897, wiersz, Kraj. nr. 1.
Borucki A. Dla idei, powieść. Szkolnictwo, nr. 1.
Bożydar. Te saluto, wiersz. Kuryer warszawski, nr. 1.
Daniłowski G. Nego, nowela. Głos, nr. 3 i dalsze.
Dygasiński A. Złamane życie, powieść. Tygodnik mód i powieści, nr. 3 i dalsze.
Exterus. Kato, powieść. Ateneum, styczeń.
Felicyan. Pieśń Biorna górnika. Kraj, nr. 51.
Gamaston Nadzieja, szkic. Tygodnik mód i powieści, nr. 1 i dalsze.
Gawalewicz M. Z liryki (cztery utwory). Biblioteka warsz., styczeń.
Gliński K. Prawda, poezya. Tygodnik ilustrowany, nr. 4.
Gomulicki W. „Na Górze trupiej głowy“. Tygodnik ilustr., nr. 4.
— Kwiaty z lasu. Tygodnik ilustrowany, nr. 1.
Hajota. Binka, nowela. Kuryer warszawski, nr. 1.
Jasieńczyk M. W Wielgiem, powieść. Bibl. warsz., styczeń i dalsze.
Klemensiewicz J. Z opustoszałych dróg. Krytyka, grudzień.
Kondratowicz S. Całą siłą, powieść. Niwa, nr. 1 i dalsze.
Konopnicka M. Żniwo (wiersz do B. Prusa). Kuryer codzienny. nr. 1.
— Modlitwa pieśniarza. Kuryer niedzielny, nr. 2.
— Adoracya magów. Tygodnik ilustrowany, nr. 1.
— Jak sobie Maciek stracha ustroił, nowela. Kuryer warszawski, nr. 1, (przedruk w Kuryerze lwowskim).
Kozłowski St. Turniej, dramat. Kuryer niedzielny, nr. 1 i dalsze.
Krechowiecki A. Rdza, powieść. Kuryer warszawski, nr. 3 i dalsze.
— Z Golgoty, obrazek. Tygodnik ilustrowany, nr. 4.
Lange A. Nie na dzień jeden. Tygodnik mód i powieści, nr. 1.
— Latający Holender, poezya. Głos, nr. 1 i 2.
Marrené W. Historya zwyczajnego człowieka. (Wł. Jabłonowski w Głosie, nr. 4).
Mellerowa Z. Monolog pana Łukasza, Kuryer warszawski, nr. 1.
Młot Zenon. Hero i Leander. Przedświt, nr. 2.
Niedźwiecki Wł. Ze wspomnień studenckich. Gazeta warsz., nr. 10.
Niemojewski A. Szumi gaj, wiersz. Krytyka, grudzień.
— I. Walcownia. II. Zaduszki. Ateneum, styczeń.
Noskowski Z. Muzykanci z potrzeby, humoreska. Kuryer warsz., nr. 1.
Or-ot. Trefniś w amorach. Kuryer warszawski, nr. 24.
— Pieśń o męce Pańskiej. Tygodnik ilustrowany, nr. 4.
— Trzej Królowie, wiersz. Kuryer warszawski, nr. 6.
Ostoja. Droga chwila, nowela. Kuryer warszawski, nr. 1.
Rodziewiczówna M. Światła. Tygodnik ilustrowany, nr. 1 i dalsze.
— Przez boczną furtę. Kuryer warszawski, nr. 1.
Rogosz J. Tak być musiało, powieść. Rola, nr. 1 i dalsze.
Rojan K. Doborowe otoczenie. Gazeta warszawska, nr. 2 i dalsze.
Rossowski St. Wróżba, żarcik sceniczny. Kuryer warszawsk, nr. 1.
Rouba N. Tryptyk, nowela. Prawda, nr. 1 i dalsze.
Rouher Ludwika. Bez jutra. Przegląd polski, styczeń i dalsze.
Rutkowski J. Mrówki. Kraj, nr. 52.
Selim. Z szarych kartek, poezye. Przegląd tygodniowy, nr. 5.
Sewer. Wśród pokus, powieść. Wędrowiec, nr. 3 i dalsze.
Sęk A. J. Dyżur pana Ignacego. Kuryer warszawski, nr. 1.
Sęp (Maleszewski). Siłą prawdy, powieść. Biesiada literacka, nr. 1 i dalsze.
Sienkiewicz Henryk. Na jasnym brzegu. Kraj, nr. 1 i dalsze Gazeta lwowska, nr. 13 i dalsze i Słowo.
— Muszę wypocząć, obrazek sceniczny. Kuryer codzienny, nr. 1, (przedruk w Dzienniku krakowskim, nr. 304 i 305).
— Krzyżacy, powieść. Tygodnik ilustrowany, nr. 5 i dalsze.
Szutkiewicz J. Komik. Wędrowiec, nr. 4.
Tatarkiewicz A. Na morzu, wiersz. Biblioteka warszawska, styczeń.
Tetmajer K. Rusałki, poezye. Kuryer warszawski, nr. 12.
— Wizya okrętu. Kraj nr. 1 i 2.
Trąmbczyński Wł. Tolerancya, obrazek. Dziennik dla wszystkich, grudzień.
Ursyn. 16 obrazków. Biblioteka romansów i powieści, nr. 1 i dalsze.
— Posada, nowela. Kuryer warszawski, nr. 1.
Zapolska G. Szlagon na reducie, monolog. Kuryer stanisławowski, nr. 592.

II. Historya literatury, rozprawy literackie, życiorysy literatów i uczonych i przyczynki biograficzne.

Balzer O. Adolf Pawiński. Ateneum, styczeń.
Baranowski M. Z przed stu laty. Rodzina i szkoła, nr. 1
Autor z urzędowych zaproszeń na publiczne egzamina (Einladung zu den öffentlichen Prüfungen), jakie były wydawane przed r. 1811 w Galicyi, wyjął kilka ciekawych szczegółów rzucających światło na stosunki szkolne galicyjskie z końca zeszłego i początku bieżącego wieku i na ówczesną literaturę pedagogiczną.
Bartoszewicz K. Dziesięcioro przykazania mężowo. Tygodnik ilustrowany, nr. 2, 3 i 5.
O broszurze Bartosza Paprockiego wydanej pod powyższym tytułem około r. 1575.
Chmielowski P. Poezya polska w r. 1896. Gazeta polska, nr. 299.
— Prus jako nowelista. Kuryer codzienny, nr 1.
Dobrowolski A. Deotyma (sylwetka). Echo muzyczne, nr. 2 i 3.
Doliński G. Z księgi pamiątek. Kuryer codzienny, nr. 1.
Wspomnienia z młodości B. Prusa.
Dygasiński A. O sztukę Kuryer niedzielny, nr. 2.
Odpowiedź na kwestyonaryusz Kuryera niedzielnego: Co to jest powieść? Patrz nasz „Przegląd Przeglądów“.
— Prus-humorysta. Kuryer codzienny, nr. 1.
√*Feldman W.* Kobiety Sienkiewicza. Dziennik krakowski, nr. 313 i dalsze.
Streszczenie odczytu wygłoszonego w Czytelni dla kobiet.
Fredro A. Z Przemyśla do Przeszowy, komedya. Biblioteka warszawska, styczeń.
Nieznana ta komedya A. Fredry wydaną została z rękopisu, o czem już wspominaliśmy w poprzednim numerze Przeglądu.
Gawalewicz M Prus jako fejletonista. Kuryer codzienny, nr. 1.
Hösick F. Marya z Wodzińskich Orpiszewska. Bluszcz, nr. 3.
Sylweta zmarłej niedawno M. z W. O. będąca zarazem odpowiedzią na artykuł Włodz. Zagórskiego: „Nie Marya W...“, którego streszczenie podaliśmy w 1 numerze naszego „Przeglądu“.
Jankowski Czesław. Powieść na tle piękna i etyki. Kuryer niedzielny, nr. 3.
Patrz nasz „Przegląd Przeglądów“.
K. R. Bolesław Prus. Ster, nr. 3.
O stanowisku Prusa w kwestyi kobiecej i o typach kobiet w jego powieściach.
Kasprowicz J. El....y. Przegląd tygodniowy, nr. 1 i dalsze.
Kenig J. Krzyżacy i literatura. Tygodnik ilustrowany, nr. 1.
Kłos W. Trochę godności. Ateneum, styczeń
Streszczenie tego artykułu daliśmy w numerze 2 naszego „Przeglądu“.
Kotarbiński J. Nowe studya nad Hamletem. Ateneum, styczeń.
Streszczenie tej pracy podał autor w pierwszym numerze naszego „Przeglądu“ b. r.
— Prus jako powieściopisarz. Kuryer codzienny, nr. 1.
Lepszy Leonard. Żegota Pauli, jego żywot i spuścizna literacka. Wiadom. num. arch., nr. ogólny 30.
Życiorys nakreślony na podstawie papierów, pozostałych po ś. p. zmarłym nestorze archeologów.

Literatura górnośląska. Światło, nr. 1 i dalsze.
W numerze 2 dodany jest do artykułu portret poety górnośląskiego ks. Konstantego Damrotha, piszącego pod pseudonimem Czesława Lubińskiego.

Matuszewski J. Bohaterowie jasełek (o stałych typach teatru ludowego). Tygodnik ilustrowany, nr. 1 i dalsze.

— Prus i Sienkiewicz Kuryer codzienny, nr. 1.

Milewska Aniela. (Wspomnienie). Przegląd tygodn., nr. 3 w Echach.
O działalności obywatelskiej zmarłej niedawno literatki.

Modestus. Zmiana redaktorów. Gazeta warszawska, nr. 1.
Uwagi nad powołaniem redaktorów, z powodu zmian zaszłych w naczelnych redakcyach dwóch Kuryerów: Codziennego i Warszawskiego.

Morelowski X. Z trenów. Goniec Wielkopolski, nr. 279.
Przedruk z rzadkiej broszury wydanej w r. 1795. Ks. Morelowski, jezuita, napisał te treny pod wpływem ówczesnych wypadków politycznych. Mają one i wartość literacką, należałoby je wydać na nowo.

Ochorowicz J. Przed 30-stu laty. Kuryer codzienny, nr. 1.
Wspomnienie z czasów młodości B. Prusa.

Perl Feliks. Płoszowski i hr. Henryk. Krytyka, grudzień.

Spasowicz Włodz. Włodzimierz Sołowiew, szkic literacki Kraj, nr. 2 i 3.

Święcicki J. A. Kroniki Prusa pod względem społecznym. Kuryer codzienny, nr. 1.

Szczepański L. Literatura nasza za granicą. Przegląd tygodniowy, nr. 2 i dalsze.
Z początku tej rozprawy daliśmy ustępy w numerze 2gim naszego Przeglądu. W dalszym ciągu autor dowodzi, że literatura nasza dramatyczna nie ma nadziei wejść na deski scen zachodnich, gdyż dramat skandynawski, a po nim niemiecki, naczelne dziś zajmują stanowisko.

Szczutowski H. Prus jako redaktor, Kuryer codzienny, nr. 1.

Szyc A. Teresa-Jadwiga Papi. Przegląd pedagogiczny, nr. 1.

Tarnowski St. Trzeci okres w zawodzie Sienkiewicza. Przegląd polski, styczeń i dalsze, (przedruk w Tygodniku ilustrowanym, nr. 5 i dalsze).
Pierwszy ciąg o „Rodzinie Połanieckich“, poprzedzony krótszym rozbiorem powieści „Bez dogmatu“. Dalsze części tej rozprawy poświęcone będą rozbiorowi „Quo Vadis“.

III. Rozprawy treści naukowej, społecznej itp.

Bełza Stanisław. W stolicy padyszacha. Wędrowiec, nr. 4 i dalsze.

Brensztein M. E. Cmentarzysko „Potumszelu-Kapaj“ w powiecie telszewskim, paraf. łuknickiej na Żmudzi, zbadane w kwietniu 1896 roku. Wiadom. num.-arch., nr. ogólny 30.

Charszewski J. X. Odrodzenie religijne w nauce, literaturze i życiu. Niwa, nr. 1.

Duchińska. Wspomnienia z życia jenerałowej Benigny Małachowskiej. Goniec wielkopolski, nr. 19 i dalsze.
Rzecz na podstawie pamiętnika jenerałowej. Szczegóły do roku 1831.

Gerson W. Przegląd malarstwa (polskiego) za rok 1896. Gazeta polska, nr. 2 i dalsze.

Głąbiński S. Kobieta wobec kwestyi społecznej. Rodzina i szkoła, nr. 2.

Hösick. Impromtu „Z wrażeń londyńskich“. Kuryer niedzielny, nr. 2 i dalsze.
W numerze 3cim zajmujący ustęp o dziale autografów British-Muzeum.

K. B. Żyzniewski August. Wiadom. num.-arch , nr. ogólny 30.
Krótki życiorys Ż. A. wiceprezesa twerskiego statystycznego komitetu i dyrektora muzeum histor. m. Tweru.

Kleczyński J. W sprawie reformy gminnej. Przegl. polski, styczeń.

Kochanowski J. K. Pierwotna germanizacya słowian pomorskich. Biblioteka warszawska, styczeń.

Koehler Dr. Osady z epoki kamienia w Wielkiem księstwie Poznańskiem. Wiadom. numiz.- archeol., nr. ogólny 30.

Komornicka M. Brak woli i jej kształcenie. Przegląd pedagogiczny nr. 2 i 3.

Kopera Feliks. Monety znalezione we wsi Mniszkach pod Łęczycą. Wiadom. numiz.-archeol , nr. ogólny 30.

Kotarbiński J. Miłość podwójna, szkic obyczajowo-psychologiczny. Przegląd tygodniowy, nr. 1 i dalsze.

Kresowy. Kamieniec podolski. Kraj, nr. 1.
Objaśnienie do widoków Kamieńca umieszczonych w tymże numerze Kraju.

Krotowski K. Zakład hr. Zamojskiej w Zakopanem. Przegląd powszechny, styczeń.

Ledóchowski Wł. X. Rozumność wiary. Przegląd powszechny, styczeń.

Lubowski E. Pamiętniki sekretne króla Jana. Tygodnik ilustrowany, nr. 1 i dalsze.

Łyskowski Dr. Faijumskie zwoje papyrusowe. Przegląd prawa i administracyi, styczeń.

Majchrowicz Fr. Choroby duszy dziecięcej. Rodzina i szkoła, nr. 1.

Makarewicz J. Ewolucya kary. Ateneum, styczeń i luty.

Manteuffel G. Księstwo inflanckie w XVII. i XVIII. stuleciu, przegląd wybitniejszych jego postaci. Przegląd powszechny, styczeń i dalsze.
W pierwszym ciągu o Hylzenach.

N. Podróż polki do Włoch w epoce Napoleońskiej (1803—1804). Przegląd polski, styczeń.
Polką tą była Walerya ze Strojnowskich kasztelanowa Tarnowska. Dziennik podróży do Włoch spisywała po francusku z dnia na dzień. Składa się on głównie z opisów i spisów oglądanych arcydzieł, które autor artykułu pomija, „podejmując tylko bardziej charakterystyczne uwagi lub spostrzeżenia“. W całym dzienniku jest zresztą mało rzeczy interesujących dla dzisiejszego czytelnika. Jedyny prawie wyjątek stanowią ustępy o matce Napolena, którą Tarnowska poznała w Rzymie u kardynała Fescha i u której spędzała później „najmilsze wieczory“. Matka pierwszego konsula, a za chwilę cesarza, opowiadała jej o rodzinnem swem życiu, o dzieciństwie syna.

O dawnem poddaństwie ludu polskiego. Światło, nr. 2 i dalsze.

Piekosiński Fr. Kilka uwag o denarach Bolesława Chrobrego. Wiadom. num.-archeol., nr. ogólny 30.
Autor dochodzi do wniosków, że imię Wszebor, wybite na denarku Bolesława Chrobrego, oznacza Wszebora, palatyna komesa Chrobrego, o którym to komesie źródła historyczne milczą. Tą samą drogą zdobywa drugiego komesa palatyna Chrobrego, w osobie Synkota; dokończenie tego artykułu będzie w następnym numerze.

Rybczyński Witold. Epoka przekwitu sztuki włoskiej XVI. wieku w świetle nowej publikacyi. Przegląd polski, styczeń.
Na podstawie dzieła Müntza: Histoire de l'Art pendant le Renaissance. Italie. III. Fin de la Renaissance. O pierwszych tomach tego dzieła zdawał pan R. sprawę w rocznikach 1891 i 1892 roku Przeglądu polskiego.

Rzeszów. Światło, nr. 2 i dalsze.
Historya Rzeszowa i opis jego zabytków z rycinami przedstawiającemi pomnik Rzeszowskich.

Schnur-Pepłowski St. Kobiety w życiu Kościuszki. Kraj, nr. 1 i dalsze.

Smólski G. Notatki z podróży. Kraj, nr. 3.
Fejletonowe wspomnienia z Wielkopolski.

Spasowicz W. O dobrej woli. Kraj, nr. 51.

Trepka. William Moris i sztuka ozdobnicza w Anglii. Ateneum, styczeń.

Warmski M. Dwie metody nauczania języków obcych. Szkoła, nr. 3 i 4.

Wynik rozumowań autora: „uczeń szkół średnich uczący się na dobę 1 godzinę języka niemieckiego, a zostający przez 23 godzin wśród polskiego otoczenia, przy pomocy jakiejkolwiek metody nie dojdzie do biegłości w używaniu obcego języka. Wszystkie więc skargi i wysiłki szkoły w tym kierunku są stracone i sprawiają nieznośne przeciążenie“.

Wolski A. D. Przyczynek do rozbioru problematu materyi i ducha. Ateneum, styczeń.

Zawadzki W. Pani Dobronoki. Przedświt, nr. 2.

Zieliński Józef. Kilka uwag o orderze Konfederacyi Barskiej. Wiad. num.-archeol., nr. ogólny 30.

IV. Recenzye i sprawozdania.

Baptysta (Zacharjasiewicz). Wolne serca, komedya (F. Koneczny w Przeglądzie polskim, styczeń).

Berent W. Fachowiec. (A. M. L. w Przeglądzie polskim, styczeń).

Dębicki L. Trzy pokolenia w Krakowie. (St. Tarnowski w Przeglądzie polskim, styczeń).

Dzieduszycki W. O wiedzy ludzkiej. (P. Stroma w Ateneum, styczeń).

Esteja. Mgławica. (A. Lisicka w Przeglądzie polskim, styczeń).

Gliński K. Klęska. (W. J. w Głosie, nr. 1).

— Budownicy szczęścia. (J. Flach w Przeglądzie pol., styczeń).

Jabłonowski A. Źródła dziejowe tom XXII. (Ksaw. Chamiec w Gazecie polskiej, nr. 12).

Jankowski Cz. Powiat oszmiański. (A. Rembowski, Kuryer warszawski, nr. 8.)

Jellenta C. Nurty. (J. Suesser w Krytyce, grudzień).

Karbowiak A. Szkoły parafialne w Polsce XIII. i XIV. wieku (*ab.* w Przewodniku naukowym i literackim, grudzień i X. St. Załęski w Przeglądzie powszechnym, styczeń).

— Listy w sprawie wystawy rzeczy szkolnych polskich. (L. K. w Przeglądzie polskim, styczeń).

Konar A. Figle amora. (Bogusławski, Gazeta polska, nr. 13, G. Kempner w Przeglądzie tyg., nr. 4, K. Zalewski w Kuryerze war., nr. 16).

— Siostry Malinowskie. (J. Flach, Przegląd polski, styczeń).

Konic H. Kartka z dziejów oświaty w Polsce. (L. K. w Przeglądzie polskim, styczeń).

Korzon J. Wewnętrzne dzieje Polski za Stanisława Augusta. (A. Rembowski, Kuryer warszawski, nr. 29 i 30).

Kowerska Z. Na służbie. (C. w Przeglądzie polskim, styczeń).

Kozłowski St. Esterka. (S. w Tygodniku mód i powieści, nr. 4).

Kozłowski Wł. Manfred, hr. Henryk i Płoszowski. (J. Kotarbiński, Kraj, nr. 52).

Kraszewski K. Ze wspomnień kasztelanica (J. F. Geisler w Głosie, nr. 1 i Cz. Jankowski w Tygodniku ilustrowanym, nr. 5).

Kraushar A. Ofiara terroryzmu. (Wł. Bukowiński w Gazecie polskiej, nr. 300).

Krzywdzic Z. Krew nie woda. (F. Koneczny w Przegl. pol., styczeń).

Lubowski (Bolej Krut). Na pochyłości. St. Popowski, Gazeta polska, nr. 15).

Maciszewski M. Historya gimnazyum tarnopolskiego. (X. St. Załęski w Przeglądzie powszechnym, styczeń).

Mazanowski M. Charakterystyka Juliusza Słowackiego. G. Korbut, Głos, nr. 4).

Nehring Wł. Kazania gnieźnieńskie. (St. Dobrzycki w Przeglądzie powszechnym, styczeń).

Niemojewski A. Listopad. (Wł. Bukowiński w Gazecie polskiej, nr. 11 i J. Sten w Krytyce, grudzień).

Potkański K. Postrzyżyny u Słowian i Germanów. (A. Rembowski w Bibliotece warszawskiej, styczeń).

Rodziewiczówna M. Klejnot. (S. w Tygodniku mód i pow., nr. 1).

Rolle M. Z przeszłości. Okręg Rowski, Starostwo Barskie (A. R. w Bibl. warsz., za grudzień 1896, Ateneum, styczeń i w Tygodniku illustrowanym, nr. 2).

Ruszkowski. Jadzia wdową. (W. Bogusławski w Gazecie polskiej, nr. 14 i G. Kempner w Przeglądzie tygodniowym, nr. 4).

Rzepiński. O życiu i pismach Inesa. (L. Dziama w Przeglądzie pow. styczeń).

Sarnecki. Cud dziewica. (F. Koneczny, Przegląd polski, styczeń).

Semenenko P. X. Ojcze nasz. (Gazeta kościelna, nr. 1 i 2).

Siemiradzki J. Na kresach cywilizacyi. (Fr. Czerny w Przeglądzie polskim, styczeń).

Sienkiewicz H. Quo vadis. (W. Bogusławski w Bibl. warsz., styczeń).

Smoleński Wł. Ostatni rok sejmu wielkiego. (A. Rembowski w Kuryerze warszawskim, nr. 15 i 16.)

Świętochowski A. Poeta jako człowiek pierwotny. (Biblioteka warsz., styczeń).

Szutkiewicz. Popychadło. (J. Kasprowicz w Wiadom. artyst., nr. 2).

Tretiak J. Szkice literackie (K. Bartoszewicz w Kraju, nr. 2 i 3).

Walewska C. Podsłuchane. (St. Popowski w Gazecie polskiej, nr. 7).

Wysocki A. G. Aniołowie z gliny. (K. w Gazecie warsz., nr. 20).

Wiadomości literackie.

a) z literatury polskiej.

— Towarzystwo Przyjaciół nauk w Poznaniu uporządkowało otrzymany w darze bogaty zbiór listów i prywatnej korespondencyi, pochodzący z archiwum Łuszczewskich i dotyczący przeważnie stosunków tej rodziny. Są jednak w tym zbiorze i korespondencye mające ogólniejsze historyczne, społeczne i literackie znaczenie, jak listy B. Kicińskiego (drukowane niedawno przez p. Erzepkiego w „Dziennniku poznańskim“), Klementyny Tańskiej, Tadeusza Czackiego, ks. metropolity Kaspra Cieciszowskiego itd.

— Warszawski *Przegląd katolicki* rozpoczął 35-ty rok swego istnienia. Założył go i kierował nim przez czas długi ś. p. ks. Michał Nowodworski, późniejszy biskup płocki.

— W Warszawie zaczęło wychodzić pismo ilustrowane *Ziarno*, które wypełnia swe szpalty przedrukami. Nazywa to ono „zestawianiem wszelkich choćby najbardziej sprzecznych ze sobą zdań i opinij prasy, aby na ich podstawie czytelnicy mogli wytworzyć sobie własny zdrowy i bezstronny sąd o kwestyach obchodzących ogół“.

— Prace dramatyczne *Adama Bełcikowskiego* ukażą się w zbiorowem wydaniu nakładem jednej z firm wydawniczych warszawskich.

— *Dr. Henryk Biegeleisen* pracuje nad przygotowaniem krytycznego wydania pism Zygmunta Krasińskiego.

— *Adolf Dygasiński* napisał dla Echa muzycznego nowelę ludową „Znajdka“.

— *J. T. Hodi (Józef Tokarzewicz)* dziękuje za pośrednictwem „Gazety warszawskiej“ kolegom po piórze, którzy „byli łaskawi przypomnieć mu w sposób nader pochlebny, że skończył 25-ciolecie zawodu dziennikarskiego w prasie warszawskiej“.

— W Krakowie przestał wychodzić „Przewodnik hygieniczny“ założony i redagowany początkowo przez prof. Henryka Jordana. Późniejszym jego wydawcą był dr. Paweł Radecki.

— Na scenie krakowskiej wystawiono w końcu stycznia „Przekupkę warszawską“ obraz sceniczny *Adama Bełcikowskiego.* Rzecz dzieje się w r. 1794 podczas oblężenia Warszawy.

— *Franciszek Domnik (Dorowski)* wystawił na scenie krakowskiej humorystyczną fantazyę „Widziadło“.

— *P. Gawalewicz* napisał nowy utwór sceniczny „Maciek Samson“.

— Dyrekcya teatrów warszawskich nabyła od *p. Gamastona (Kamińskiego)* dwa utwory sceniczne; jeden nosi tytuł „Pąpawa“, drugi „Jak mogło być... i jak było“. Pierwszy z utworów tych ma być wkrótce przedstawionym na scenie Teatru Rozmaitości.

— Komitet Pomocy Kasy dla osób, pracujących na polu naukowem im. J. Mianowskiego, podaje do wiadomości, że z zapisu Jakóba Natansona przyznane zostaną w r. b. dwie nagrody pieniężne: jedna za najlepszą pracę z dziedziny nauk ścisłych, ogłoszoną drukiem w języku polskim w latach 1893—1896; drugą, za takąż pracę w dziedzinie nauk społecznych, filozoficznych, prawnych, historycznych lub tym podobnych. Nagrody udzielone być mogą jedynie poddanym rossyjskim, mieszkańcom Królestwa polskiego. Dostarczyć należy prac o których mowa, w biurze Komitetu (Bank handlowy), lub na ręce jednego z członków Komitetu 1 kwietnia r. b.

— Poznańskie Towarzystwo Przyjaciół nauk ma wydawać kwartalnik naukowy zamiast dotychczasowego rocznika.

— Znany adwokat warszawski p. *Stanisław Pepłowski* złożył w redakcyi Gazety sądowej 700 zlp. jako pierwszy fundusz na wydawnictwo „Słownika prawniczego polskiego". Projektodawcy szło o utrwalenie bogatego już słownictwa prawnego polskiego, gdyż młodsza generacya zapomniała całkiem licznych, ścisłych i pięknych wyrażeń dawnego naszego prawnictwa. Stąd na każdym prawie kroku spotyka się w piśmiennictwie prawniczem pomieszanie pojęć i języków: nie odróżnia się np. *prawa* (jus) od *ustawy* (lex), pojęcia *prawny* od *prawniczy*. Gazeta sądowa miała już zbierać prenumeratę i przystąpić do wykonania projektowanej pracy, kiedy okazało się że pp. *Leopold Meyet* i *Feliks Ochimowski* mają już słownik niemal zupełnie gotowy. Podobno i ś. p. *Kasznica* zbierał do podobnego dzieła materyały, lecz nie wiadomo co się stało z rękopisem po jego śmierci.

— Dyrekcya teatru lwowskiego rozpisała konkurs na utwór sceniczny z nagrodą 300 złr.

— Firma Gebethnera i Wolfa nabyła prawo wydawnictwa dzieł *Adama Asnyka*. Wyjdą one w 4 tomach, z których trzy pierwsze obejmą poezye, a czwarty utwory dramatyczne. Prócz tego wyda taż firma wybór poezyj Asnyka w miniaturowem wydaniu, w jakiem ukazały się już jej nakładem „Pan Tadeusz", poezye Konopnickiej i „Odysseja" Homera w tłomaczeniu Siemieńskiego.

— Wiedeński nakładca Bondy przystępuje do wydawnictwa ilustrowanej historyi literatury polskiej; tekstu dostarczy *dr. H. Biegeleisen*. Projekt takiego wydawnictwa dawno już istniał, to też prawdziwy wstyd dla naszych firm wydawniczych, że dały się ubiedz obcej firmie.

— W nieogłoszonej literackiej spuściźnie po *Aleksandrze Fredrze*, którą wnuk znakomitego komedyopisarza powierzył do przejrzenia i zużytkowania drowi H. Biegeleisenowi, znalazł się między innemi urywek z pamiętnika autora Ślubów panieńskich. Jestto epizod z przygód autora podczas wojen napoleońskich. Dzięki uprzejmości dra Biegeleisena urywek ten pomieścimy w następnym numerze *Przeglądu literackiego*.

Najświeższe nowości.

Buckle H. T. Historya cywilizacyi w Anglii, wykład popularny O. K. Nitowicza w przekładzie A. Dobrowolskiego. Warszawa, Gebethner i Wolff, str. 183, cena 1 zlr.

Chełmiński ks. Zyg. Requiescat in pace, opowiadanie. Warszawa, Gebethner i Wolff, str. 153, cena 80 kop.

Czartoryski Z. ks. Listy z podróży. Poznań, Kozłowski.

Dostojewski T. Wspomnienia z martwego domu, przełożył i wstępem zaopatrzył dr. Józef Tretiak. Kraków nakład Spółki wyd. polskiej, str. 325.

Hösick Ferdynand. Życie Juliusza Słowackiego na tle współczesnej epoki, biografia psychologiczna. Kraków 1897, Gebethner i Wolff, tom I. str. 621, tom II. str. 366.

Jabłonowski Al. Ziemie ruskie III. Warszawa, Gebethner i Wolff, cena 3 rs.

Kenig J. Sprawa chińsko-japońska i dwa odczyty. Warszawa, Lewenthal, str. 138, cena 50 kop.

Konieczny Feliks dr. Dzieje Śląska (ilustr.) Zeszyty 1, 2, 3 i 4 po 30 fen.

Kozłowski Stanisław. Esterka, dramat. Warszawa, 75 kop.

Księgi humoru polskiego, zebrał, ułożył i objaśnił K. Bartoszewicz (z portretami i autografami). Petersburg, Grendyszyński. Tom pierwszy, str. 340. Cena 2 zlr. 10 ct.

Mazanowski A. Charakterystyki literackie pisarzy polskich, II. Adam Mickiewicz. Złoczów, Zukerkandel.

Pelczar Józ. ks. Rozmyślania o życiu kapłańskiem czyli ascetyka kapłańska, część I. i II., wydanie drugie. Spółka wydawnicza polska, str. 423 i 496, cena 6 złr.

Sewer. U progu sztuki, powieść. Petersburg, Grendyszyński. 2 tomy. Cena 2 rs. 40 kop.

Szekspir W. Cymbelin, komedya w 5 aktach, przełożył St. Rossowski. Lwów, nakł. Księgarni polskiej, str. 155, cena 20 ct.

— Miarka za miarkę, komedya w 5 aktach, przełożył Jan Kasprowicz, str. 130, cena 20 ct.

Tarnowski St. Studya do historyi literatury polskiej w XIX wieku. Rozprawy i sprawozdania, tom III. Kraków, Spółka wyd. str. 270, cena 2 złr.

Zagórski Włodzimierz. (Chochlik). Mój pierwszy dzik i inne nowele. Warszawa, nakł. T. Paprockiego i Sp. str. 340, 1 rs. 50 kop.

Nekrologia.

Stanisław Siennicki bibliograf i archeolog, referent biura okręgu naukowego warszawskiego, zmarł 27 stycznia w Warszawie. Opisał kościół rzym. kat. św. Katarzyny w Petersburgu, drukarnię na Jasnej Górze itd. W r. 1874 wydał po francusku spis elzewirów Biblioteki głównej warszawskiej; w tymże języku na zjazd oryentalistów w Petersburgu opracował dzieje cmentarza mahometańskiego.

Sprawy Związku literackiego.

Dnia 3 lutego 1897 r. odbyło się Walne Zgromadzenie członków Związku literackiego. Po zagajeniu przez prezesa dra Maryana Zdziechowskiego, p. Kazimierz Bartoszewicz w zastępstwie nieobecnego w Krakowie sekretarza p. J. Kotarbińskiego złożył sprawę z działalności ustępującego Wydziału. Po sprawozdaniu rozwinęła się obszerna dyskusya nad potrzebami Stowarzyszenia i nad wydawnictwem „Przeglądu literackiego" będącego organem Związku. W dyskusyi zabierali głos prof. dr. Tretiak, dr. Beaupré, dr. Chmiel, dr. A. Krzyżanowski, dr. M. Roztworowski i K. Bartoszewicz. Z kolei podskarbi Dr. Adam Chmiel przedstawił stan kasowy Związku, poczem Walne Zgromadzenie udzieliło absolutoryum ustępującemu Wydziałowi. W końcu przystąpiono do wyboru na miejsce ubyłych i wylosowanych członków Wydziału. Wybrani zostali: Kazimierz Bartoszewicz, dr. Antoni Beaupré, dr. Adam Chmiel, dr. Feliks Koneczny, Józef Kotarbiński, dr. Adam Krzyżanowski, Sewer Maciejowski, dyrektor Tomasz Sołtysik i prof. dr. Józef Tretiak.

Nowy Wydział Związku wybrał prezesem dra Maryana Zdziechowskiego (ponownie), wiceprezesem Kazimierza Bartoszewicza (ponownie) sekretarzem dra Michała Rostworowskiego, podskarbim prof. Józefa Dobrowolskiego, bibliotekarzem prof. Romana Zawilińskiego.

Odpowiedzi Redakcyi.

Panu J. B. Uwaga słuszna, ale naprzód nie odrazu Kraków zbudowano, następnie musimy się liczyć z rozmiarami pisma, a wreszcie i z własnemi siłami. Pismo takie, jakie Sz. Pan sobie wyobraża, musiałoby mieć wielką liczbę współpracowników i to dobrze wynagradzanych, a przedewszystkiem chcąc objąć cały ogrom przez Sz. Pana proponowany, musiałoby wychodzić co tydzień i to w rozmiarach większych niż obecnie. Za tem poszłaby podwyżka prenumeraty, za tą znów poszłoby zmniejszenie się liczby prenumeratorów. Kto zna nasze stosunki, ten wie, że do pisma takiego trzebaby dopłacać rocznie przynajmniej 5000 złr. jeżeli nie więcej. Takich, coby prenumerowali pismo wyłącznie poświęcone sprawom literatury, jest u nas niestety bardzo mało. Beletrystyka, obrazki, humorystyka, mody, kroniczki—oto co popłaca. A w dzisiejsze łamy *Przeglądu* nie da się już nic wtłoczyć, bez ujmy dla działów istniejących. I tak jeszcze *Przegląd* jest daleki od głównego zadania, jakie sobie postawił: być dokładnym obrazem bieżącej ojczystej literatury. Ku temu celowi chce zmierzać pomału, gromadząc jednocześnie szczegóły do historyi piśmiennictwa, do biografii i bibliografii. Zresztą te działy, o których Sz. Pan wspomina, są tak szeroko (nie mówimy: dobrze) uprawiane przez dziesiątki naszych czasopism, że im nie zostaje miejsca na literaturę ojczystą i na zajmowanie się wogóle naszemi sprawami literackiemi. I dlatego też Przegląd nasz założyliśmy.

Pierwszy (1896) rocznik
„PRZEGLĄDU LITERACKIEGO“
można nabywać
po cenie 3 złr. za egzemplarz (z przesyłką pocztową 3 złr. 50 ct.)

Redaktor główny i odpowiedzialny
Kazimierz Bartoszewicz.
Wydawca i sekretarz Redakcyi: ***Ludwik Glatman.***

W drukarni A. Koziańskiego w Krakowie.